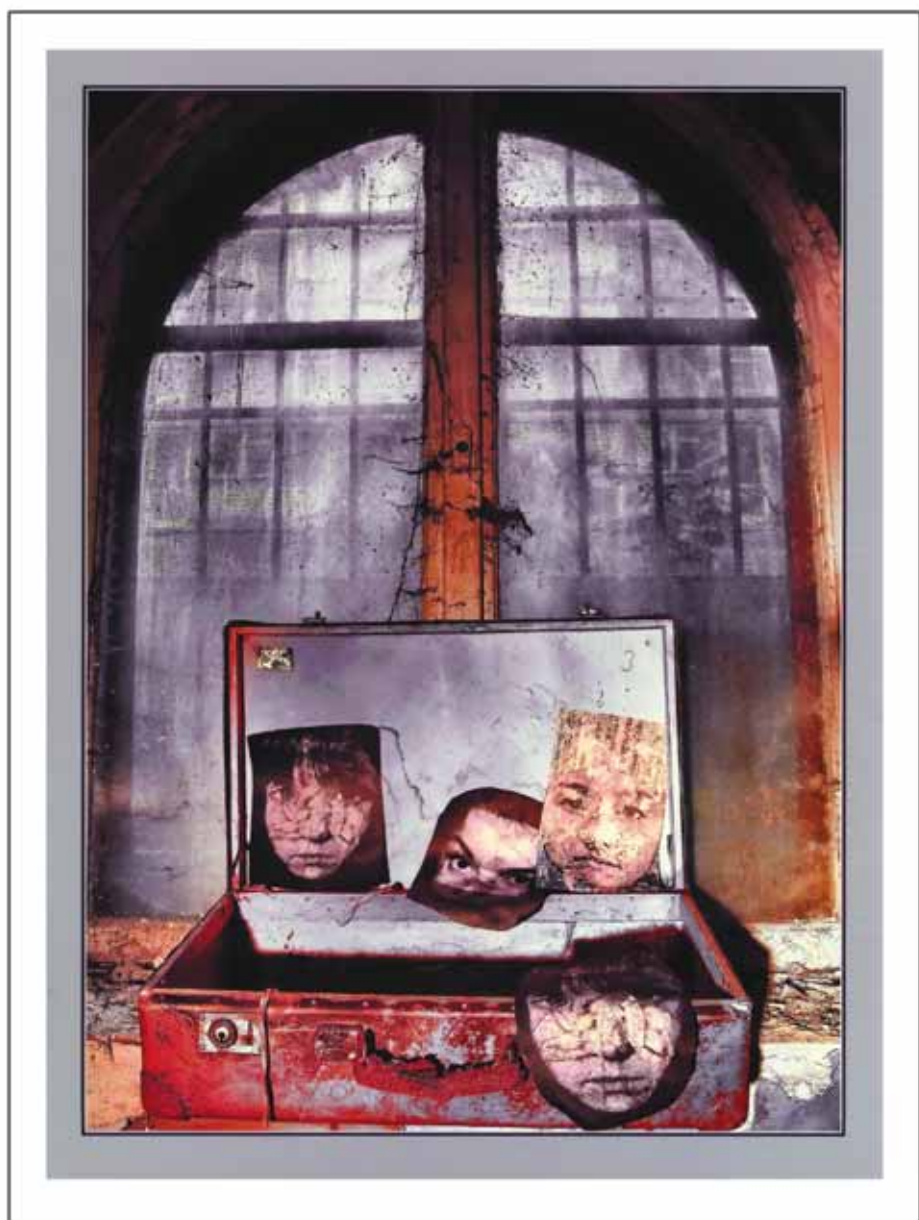


# aleje 3

NUMER 78    listopad - grudzień 2009  
ISSN 1427-8812    CENA 3 zł

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy





Eugeniusz Nurzyński (Gdańsk) - Walizka z portretami

# aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

Pismo finansowane  
przez Urząd Miasta Częstochowy

## Wydawca

Biblioteka Publiczna  
im. dr. Wł. Biegańskiego  
w Częstochowie  
Al. Najświętszej Maryi Panny 22  
42-200 Częstochowa  
Tel. 034/ 360-56-28  
[www.biblioteka.czest.pl](http://www.biblioteka.czest.pl)

## Redakcja

Aleje NMP 22  
42-200 Częstochowa  
Tel. 034/ 360-56-28  
[aleje3@op.pl](mailto:aleje3@op.pl)

Teksty niezamówione nie będą  
zwracane. Zastrzegamy sobie możliwość  
opracowania i skracania przysłanych  
materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze  
odzwierciedlają poglądy Redakcji

## Red. Naczelny

Marian P. Rawinis  
Tel. 0505-666-486  
[mprawinis@poczta.onet.pl](mailto:mprawinis@poczta.onet.pl)

## Skład i łamanie

Krzysztof Klaus

## Druk i oprawa:

Sowa - druk na życzenie  
[www.sowadruk.pl](http://www.sowadruk.pl)  
tel. (0-22) 431-81-40  
Nakład 400 egz.



Małgorzata Kozakowska  
(Częstochowa) -  
Czarowanie natury I

Kiedy idziesz, zostawiasz ślad – powiadają Indianie. Po śladach można poznać, jaki jesteś. Chudy czy gruby, młody czy stary, zdrowy czy kulawy, dobry czy zły. Gdy przechodzisz przez życie, zostawiasz ślady. Po nich można poznać, kim jesteś.

Czasem ktoś pójdzie twoim śladem, gdy chce się dowiedzieć więcej, naśladować drogę, pójść podobnym szlakiem, czasem tylko kawałek, mały odcinek. Podziękuję w myśli za dobry trop, przeklinię za wyprowadzenie na manowce. Wszyscy zostawiają ślad – w głowach, sercach, pamięci, czasem także na papierze lub w kamieniu. Zawsze zostaje coś po tym, że przeszedłeś.

Umarł Tadeusz Gieryski. Przez ponad pół wieku był obecnym w życiu kulturalnym, a zwłaszcza literackim naszego miasta. Wielu z nas zachowa pod powiekami jego charakterystyczną postać. Jego lekki, nierządki chwytliwy krok. Poeta, człowiek któremu wiele się wybacza. Gieryski w redakcji, przy kawiarnianym stoliku, w Alejach. Gieryski w Łasku Aniołowskim, w Olszynie, w Sokolich Górach. W ostatnich latach, gdy nie opuszczał już mieszkania, najbardziej żałował braku możliwości spacerowania.

Publikował w wielu pismach, wydał dziesięć książek. Zyswał się na określenie artysta, wołał: rzemieślnik, mistrz cechu. Miał świadomość swoich ograniczeń, podchodził do tego z humorem i dystansem. Nie będę pisał tak, jak malował Gieryski - zartował, gdy spytałem o pokrewieństwo z tamtym malarzem. Zawsze był tam, gdzie rodziły się nowe pomysły. Świadczył powstawaniu nowych gazet lub wpływał na ich kształt, jak „Gazeta Częstochowska” lub „Dziennik Częstochowski – 24 Godziny”. Wymyślił i doprowadził do powstania miejskie pismo o charakterze kulturalnym, to właśnie „Aleje 3”.

Promował młodych poetów. To on umożliwił Halinie Poświatowskiej debiut w „Gazecie Częstochowskiej”. Po latach mówił, że to przypadek, chciał pomóc. Życzliwy dla młodych, wspierał i opiniował dziesiątki poetów, wierszokletów i adeptów. Pisał recenzje, zachęcał, poprawiał, proponował. Rozmawiał z nimi w kawiarniach, klubach, w redakcjach, przyjmował w domu. Prowadził rubryki literackie w gazetach, zawsze pełen zapału, chęci, życzliwości. Niestrudzony, nigdy nie zniechęcony. Na kilku etapach mojej pracy mówił do mnie: szefie. Przynosił teksty do redakcji, którymi kierowałem, nowe pomysły i nowe nazwiska. Nigdy się nie zrażał, nigdy się nie obrażał.

Istniał. Przechodził przez życie wielu twórców, kolegów, młodzieży. Zostawił ślad. Dla każdego inny, różnej głębokości, o różnym znaczeniu.

Koniec lat siedemdziesiątych. Kazimierz Dolny nad Wisłą, mekka polskich artystów. Wiosenna noc, po niedawnym, ciepłym deszczu upojnie pachną bzy. Przez malownicze uliczki, pomiędzy bajkowymi domkami, płotkami i kwiatowymi ogródkami, idzie Tadeusz Gieryski. Krok ma lekki, poezja szumi w nim jak wino i jak życie. Idzie na przelaj, przed siebie, z głową zadartą ku rozgwieżdżonemu niebu. Nie przejmując się kałużami, w których odbija się księżyc, a w które co i raz wstępuje. Rozwiane poły kurtki, rozwiane włosy. Tadeusz Gieryski wdeptuje w wodę i zostawia ślad.

Przeszedł. Wspomnienie o nim, jak woda w kałużach Kazimierza, drga, faluje i osadza się w pamięci.

Marian Piotr Rawinis

Ojczyzna to wielki zbiorowy obowiązek

*C.K. Norwid*



*Fot. Leszek Pilichowski*



*Kwesta na ratowanie cmentarzy w Polsce i na Wschodzie*



*Pomniki pamięci zamordowanych Żydów, 40 tys. naszych współmieszkańców*



*Odnaczenia „Ci, co służą miastu i Ojczyźnie” – dla Gustawa Grackiego, powstańca warszawskiego oraz dla Szarych Szeregów*



*Lekcja historii: IPN o protestach częstochowian jesienią 1980*

Fot. Leszek Pilichowski

## Dialog Madonn o ciemnych obliczach

Marek Pernal

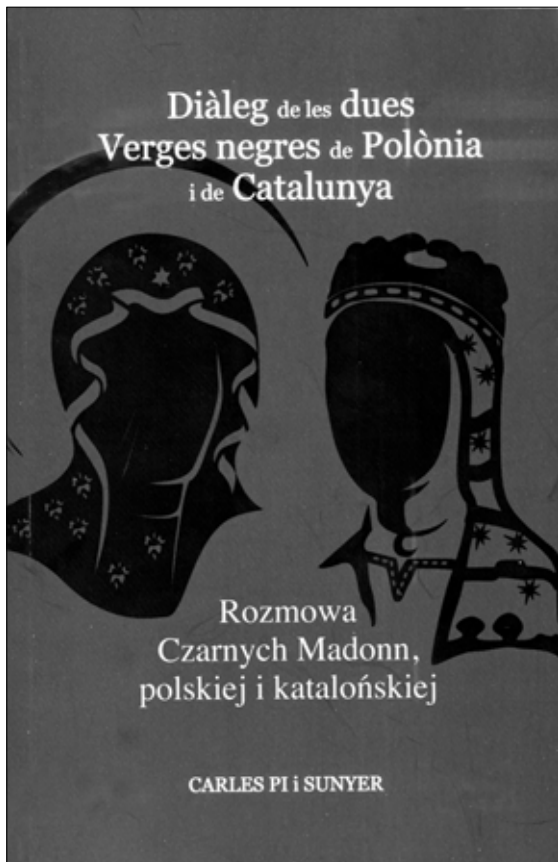
Masyw Montserrat wygląda jak kaprys Stwórcy. Osamotnione, wysoko wypiętrzone pasmo widziane z odległej o 30 kilometrów Barcelony przywodzi na myśl zwarty mur skał wyrastających spośród otaczającej je równiny. Oglądane z bliska wapienne bałwany wyglądają jak gigantyczne maczu-

gi, obłe grzbiety kilkusetmetrowych słońi, skamieniałe gargantuiczne bochny chleba. W połowie wysokości masywu, na skalnej półce, stoją budynki benedyktyńskiego klasztoru, jednego z najświetniejszych ośrodków kultu religijnego w Katalonii. W centralnym miejscu sanktuarium, w niszy kilkanaście metrów ponad głównym ołtarzem bazyliki umieszczony jest niewielki posązek Matki Bożej z Montserrat. Madonna ma ciemne, niemal grafitowe oblicze, stąd tradycyjnie i familiarnie nazywana bywa „La Moreneta” – „Czarnulka”. Pochodząca z XII wieku rzeźba jest otoczona wyjątkową czcią, a Matkę Bożą z Montserrat uznaje się za patronkę Katalonii.

Przed 70 laty historia w przedziwny sposób połączyła czarnoskórą Madonnę z Montserrat z wizerunkiem Matki Bożej Częstochowskiej. Po zakończeniu wojny domowej w Hiszpanii wiosną 1939 roku wielka rzesza polityków, wojskowych i innych ludzi związanych z pokonaną Republiką znalazła się na emigracji. Wśród osób, które tym sposobem uchroniły się przed represjami frankistów, był Carles Pi i Sunyer, burmistrz Barcelony, poseł do hiszpańskiego parlamentu i minister kultury autonomicznego rządu Katalonii, człowiek o głębokiej wierze ukształtowanej przez katolickie środowisko. I – co równie ważne dla naszej historii – publicysta, pisarz i poeta dobrze znający dzieje i literaturę Polski. Osiadł wraz z rodziną w Londynie, który na kilkanaście lat miał się stać jego azylem.

Wybuch II wojny światowej we wrześniu 1939 roku poruszył Pi i Sunyerem. Śledząc wiadomości nadchodzące z frontu, odnotował w swym dzienniku zaskakującą zbieżność sytuacji, w jakich znalazło się społeczeństwo Hiszpanii po klęsce demokracji i Polacy w swym kraju okupowanym przez Niemców i Rosjan. Rezultatem owych przemyśleń i emocji stał się wyjątkowy utwór poetycki – „Rozmowa Czarnych Madonn, polskiej i katalońskiej”, w którym Pi i Sunyer włożył w usta Patronek obydwu narodów słowa wzajemnego współczucia, wsparcia i wiary w ostateczne zwycięstwo dobra i miłości nad przemocą i agresją.

Poemat, napisany po katalońsku, został opublikowany po raz pierw-



szy latem 1940 roku, początkowo w Chile i Kolumbii. Wśród kilku kolejnych edycji wyróżnia się skromna publikacja przygotowana w Barcelonie w 1982 roku, na krótko przed pielgrzymką papieża Jana Pawła II do Hiszpanii. Tomik z poematem Pi i Sunyera został wręczony w darze Ojcu Świętemu podczas jego wizyty w sanktuarium na Montserrat 7 listopada 1982.

Latem 2009, w związku z przygotowaniem do obchodów rocznicy wybuchu II wojny światowej, Konsulat Generalny RP w Barcelonie podjął zamiar przypomnienia utworu, będącego wyjątkowym świadectwem wiary w obliczu dramatu wojny. W ostatnich dniach sierpnia ukazało się drukiem nowe wydanie „Rozmowy...”, obejmujące – obok katalońskiego oryginału także pierwsze

polskie tłumaczenie poematu, dzieło Jerzego Sławomirskiego, wraz z analizą historyczno-literacką utworu dokonaną przez Olę Glondys. Dwuznaczna publikacja została zaprezentowana 6 września br. podczas mszy św. i uroczystości upamiętniającej ofiary wojny, zorganizowanej w klasztorze na Montserrat, w obecności licznych wiernych, Polaków i Katalończyków. Z okazji tego wyjątkowego wydarzenia klasztor na Jasnej Górze ofiarował katalońskiemu sanktuarium wierną kopię częstochowskiego Obrazu. Wszyscy, którzy przybyli owego dnia do Montserrat, mieli zatem niecodzienną sposobność śledzenia podczas mszy świętej niemego dialogu Matki Bożej Częstochowskiej i Matki Bożej z Montserrat. Co miały sobie dziś do powiedzenia?...



Fot. Marek Pernal

# PLASTYKA

## TRIENNALE SZTUKI SACRUM

VII Triennale Sztuki Sacrum to jedno z najważniejszych wydarzeń artystycznych roku 2009 w Częstochowie.

Na potrzeby kolejnej dużej wystawy z tego cyklu, tym razem pt. „Dom – droga istnienia”, zaaranżowano całą przestrzeń wystawienniczą Miejskiej Galerii Sztuki, gdzie zaprezentowano około 200 prac.

VII Triennale trwać będzie do 1 sierpnia 2010. Obejmie kilka wystaw sztuk wizualnych, konkurs dla artystów plastyków, spotkania i konferencje, akcje plastyczne, przegląd filmowy.

Wystawa problemowa, przygotowana we współpracy z Instytutem Sztuki PAN, powstała wg scenariusza na podstawie książki Danuty i Zbigniewa Benedyktowiczów „Dom w tradycji ludowej” oraz projektu antropologicznego „Dom – droga istnienia”. Wystawa ma charakter interdyscyplinarny - znajdują się na niej prace artystów różnych pokoleń: obrazy m.in. Olgi Boznańskiej, Jacka Malczewskiego, Zbysława Maciejewskiego, Zbysłuta Grzywacza, Andrzeja Okińczycza, Magdaleny Moskwy, Kiejstuta Bereźnickiego, rzeźby i instalacje Jana Kucza, Leszka Knaflewskiego, Julity Wójcik, Karola Wieczorka; videoprojektje Zorki Wolny, Rafała Jakubowicza i in. Dzieła pochodzą ze zbiorów muzealnych i kolekcji prywatnych, niektóre zostały wykonane specjalnie z myślą o tej wystawie.



Fot. Leszek Piłichowski



## Truchcikiem po galeriach



Fot. Leszek Pilichowski

Jarosław Jaskender w Konduktorowni częstochowskiej Zachęty w „Galerii na piętrze” przedstawił swoje prace malarskie związane z martwą naturą. Kompozycje te, o charakterze postimpresjonistycznych syntetycznych układów przedmiotowych, mają specyficzną cechę sumarycznego wydobycia struktury cienia. Powodem do znaczące deformacje w świetle przedmiotowym martwej natury. Same zaś cienie tworzą quasi-znaki, jakby litery – osobiste tagi zawierające informacje o postrzeganej rzeczywistości i sposobie jej postrzegania. Prace Jarosława Jaskendra, który ukończył w 2003 roku Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie na Wydziale Malarstwa w pracowni prof. Adama Wsiołkowskiego, jasnieją również syntetycznym światłem połączonego tła z różnorodnymi planami martwej natury. Wystawa kameralna, jednak warta zobaczenia. Wernisaż odbył się 23 października 2009 roku.

\*\*\*

Również w Konduktorowni – pracownia multimedialna prof. Ewy Zawadzkiej-Rykały z Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach w dużej przestronnej sali „White Cube” pokazuje jej osiągnięcia w zakresie grafiki odchodzącej od tradycyjnej matrycy płyty metalowej, płaskozłoty deski bądź linoleum czy kamienia litograficznego. Obecnie matrycą w grafice może być wszystko: dłoń, stopa, płyta offsetowa, matryca cyfrowego aparatu fotograficznego. Dawniej również wykorzystywano fotografię przy gumie czy heliografii. Różnorodność technik i postaw katowickich studentów pozwoliła zaaranżować interesującą wystawę dojrzałych artystycznie młodych adeptów sztuki, postrzegających rzeczywistość indywidualnie, osobiście i osobno – poszukując własnej ekspresji graficznej, własnego współczesnego języka przekazu.

**Marian Panek**

## Mój pierwszy bal...

„Mój pierwszy bal,  
te walczyki leciutkie jak świerszcze,  
pierwszy bal,  
czyjeś oczy wesołe, na szczęście.  
Pierwszy bal.  
Bal z myśką, bal z łezką, bal za mgłą,  
i walczyki co jeszcze się śnią...  
Mój pierwszy bal, sentymentalny bal,  
troszeczkę żal,  
mój pierwszy, jedyny bal.”  
sł. Jeremi Przybora

Mimo dojrzałego wieku to był mój pierwszy bal... na Politechnice Częstochowskiej, bowiem nie jestem jej absolwentką. A jako absolwentce WSP przyszło mi poznać, że tak udana, spontaniczna zabawa nie miała jeszcze miejsca w „mojej” Alma Mater (mimo 38 lat istnienia).

Tak więc w sobotę 26 września b.r. pięknie „przebrana” i przybrana Hala Polonia była gospodarzem balu finalizującego obchody 60-lecia istnienia Politechniki Częstochowskiej, zorganizowanego przez władze uczelni wraz ze Stowarzyszeniem Wychowanków PCz. Ta stosunkowo mało licznie zasilona absolwentami (a jest ich ponoć już 54 tys.!), za to bardzo udana impreza zamykała serię spotkań wydziałowych i ogólnouczelnianych, koncertów, wyborów władz SWPCz i imprez towarzyszących.

Bal ze swadą i dowcipnie poprowadził Tadeusz Drozda, dumny absolwent politechniki, tyle że wrocławskiej, który oprócz sporej dawki zdrowego humoru wykonał także kilka swoich, znanych dobrze, jakże ludycznych piosenek, zapewniając tańczącym dobrą zabawę.

W tzw. międzyczasie na scenie pojawił się prezes SWPCz, prof. Jan Pilarczyk, który oprócz słów kilku wstępu i zanim odpał parkiet wyłącznie skłonny do tańca, wykonał z dużą dozą przewrotnego dramatyizmu, ponoć już tradycyjnie na balach, piosenkę „Czy te oczy mogą kłamać?”

Roztańczonym absolwentom, ale nie tylko, przygrywał do białego rana doskonale zespół rodem z Krakowa, Capri New Beat, którego profesjonalizm zachwycił. Przygotowany program, złożony z rzeźby można bloków tematycznych, był prezentacją różnych krain muzycznych, różnych stylów, różnych odmian muzyki tanecznej, wyciskając z uczestników siódme poty i zapewniając doskonałą zabawę.

Byłam pełna podziwu nie tylko dla „parzy” tańczących, w większości moich rówieśników, a i starszych, ale dla cudownej atmosfery wspólnej zabawy i niesamowitej energii płynącej od tańczących.

Na pewno powinniśmy żałować ci, których nie było. W ramach konsolidacji studenckiej kilka osób przybyło specjalnie nawet ze Stanów Zjednoczonych, wiele z innych, czasem nawet bardzo odległych miast.

„Bal z myśką, bal z łezką, bal za mgłą...”, ach, warto było...

**Joanna Grochowska**

## Wystawy obrazów panoramowych w Częstochowie

Anna Dylewska

W pierwszej połowie 1896 roku po południowej stronie ulicy Panny Marii, przy skrzyżowaniu z ulicą Celną (dzisiaj Pułaskiego), stanęła oryginalna, duża budowla w kształcie rotundy. Rotundę na zakupionym w tym celu placu pod numerem 75 za cenę 8200 rs. wznosił dr Henryk Lgocki z Krakowa, planując wystawić w niej panoramowy obraz *Golgota (Ukrzyżowanie Chrystusa)*. Budowa trwała od końca lutego do czerwca 1896 roku i kosztowała inwestora ok. 4300 rs. Rotundę wzniesiono z kamienia i drewna na planie regularnego dwunastoboku o średnicy ok. 40 m, pod kierunkiem Kazimierza Malińskiego, przedsiębiorcy budowlanego z Częstochowy. Miała 16 m wysokości, średnica wnętrza wynosiła ok. 32 m, obwód murów zewnętrznych ok. 116 m. Była nakryta spłaszczoną kopułą z latarnią na szczycie; światło dzienne wpadało przez oszklone okno obiegające zadaszenie. Do pawilonu o gładkich, pozbawionych dekoracji architektonicznych ścian przylegał prostokątny przedsionek mieszczący wejście, przed którym wytyczono obszerny, okrągły dziedzińiec z podjazdem i gazonom pośrodku, otwarty na ulicę Panny Marii. Reprezentacyjną, pięcioprzęsłową fasadę przedsionka zaprojektowaną w stylu neobarokowym, dzieliły boniowane pilastry, zamykało belkowanie z wazonami i sterczynami oraz podniesiony trójkątny fronton ze spływami wolutowymi. W nieco szerszym prześle środkowym umieszczono duży portal w formie serliany z półkolistym tympanonem z dekoracją figuralną; w przęsłach sąsiadujących z portalem znajdowały się prostokątne okna.

Rotunda znalazła się na kartach początkowych wydanych na przełomie XIX i XX wieku. Pawilon przeznaczony do wystawiania obrazów panoramowych został uwzględniony na mapie Częstochowy z roku 1901. Obiekt ten figuruje również na planie sytuacyjnym wystawy Przemysłowo-Rolniczej w Częstochowie w roku 1909, sporządzonym przez architekta Adolfa Bogusławskiego. Budynek widoczny jest na zdjęciu wykonanym po roku 1909 z wieży jasnogórskiej i ukazującym uporządkowane tereny po zlikwidowanej wystawie. Jego monumentalna sylweta wyróżnia się na tle architektury miasta.

Panoramy, czyli duże, rozbudowane widowska malarskie, były oryginalnym wytworem kultury i sztuki XIX stulecia, wychodząc bowiem poza trady-



Dr Henryk Lgocki

cyjne gatunki malarskie oraz wykorzystując kolosalną skalę malowidła i zjawiska optyczne, dawały widzowi iluzję uczestnictwa w narracji obrazu. Przez cały XIX wiek przyciągały tłumy zwiedzających przynosząc znaczne dochody z biletów. Przedstawiały sławne bitwy i wydarzenia historyczne, znane budowle, antyczne ruiny, egzotyczne kraje, widoki miast, krajobrazy, sceny religijne. Ekspozowano je zwykle w rotundach, w których obraz można było zainstalować okrężnie na całej powierzchni ściany wewnętrznej. Ściana ta odsunięta od murów zewnętrznych tworzyła przestrzeń, wykorzystywaną m.in. do komunikacji oraz w celach technicznych. Widzowie oglądali malowidło z podestu ustawionego na środku rotundy, do którego docierali długim, ciemnym korytarzem zakończonym krętymi schodami; po znalezieniu się we wnętrzu zaskocznie realizmem widowiska było szokujące. Nad podestem mocowano zadaszenie w formie dużego parasola, które nie tylko celowo rozpraszało i odbijało światło, ale także zasłaniało górną krawędź malowidła. Dzięki umiętnie wydobytej perspektywie powietrznej oraz mistrzowsko wykreślonej perspektywie linealnej i skrótom perspektywicznym widzowie ulegali absolutnemu złudzeniu trójwymiarowości przedstawienia. Pomiedzy platformą widokową a obrazem znajdowało się przedpole (tzw. sztuczny teren), na którym umieszczano prawdziwe przedmioty - drzewa, krzewy, figury zwierząt i ludzi, murki, mostki, drożki, przed scenami batalistycznymi sypano okopy, układano bron, ustawiano lawety - które zasłaniając dolną krawędź obrazu fikcję tę potęgowały. Do czasu pojawienia się obrazów ruchomych, czyli kina, widowska panoramowe stały się pierwszym przejawem kultury skierowanej do odbiorcy masowego.

Panoramę malowało zwykle kilku malarzy, specjalistów od scen batalistycznych, rodzajowych, krajobrazów, widoków architektury, postaci ludzkich czy zwierzęcych. Ogólną koncepcję malowidła tworzył artysta przyjmujący zamówienie, on także dobierał i kierował zespołem i odpowiadał za ogólny poziom artystyczny; on wreszcie figurował jako autor dzieła.

Pierwszy obraz panoramowy i pierwszy budynek w kształcie rotundy przeznaczony do jego prezentacji powstał pod koniec XIX w Anglii dzięki wynalaz-



Oblężenie Czesłochowy  
przez szwedów.

(Lewa strona obrazu).

OBRAZ J. RYSZKIEWICZA.

kowi malarza Roberta Barkera. Wkrótce panoramy zaczęto malować także we Francji, gdzie wzbudzały tak duże zainteresowanie, że na początku XIX wieku w samym Paryżu funkcjonowało 5 rotund. Budynki panoramowe pojawiły się dość szybko w Niemczech, Austrii, Szwajcarii i Holandii, a malowidła zaczęły wędrować po Europie. Powstało wiele przedsiębiorstw zajmujących się „produkcją” i wynajmowaniem panoram, budową rotund, eksportem i organizacją pokazów. Niewielkie dotychczas pawilony po połowie XIX stulecia uzyskały znormalizowane wymiary – ich średnica wynosiła ok. 40 m, wysokość ok. 18 m, obrazy miały najczęściej od 100 do 120 m długości i około 15 m wysokości. W ostatnim dziesięcioleciu XIX wieku każde większe miasto europejskie posiadało jedną lub dwie rotundy; aż osiem tego rodzaju sal wystawowych miał Paryż, Berlin – sześć, Monachium – trzy. W Niemczech, w okresie od 1890 do 1910 roku, pokazano 60 widowskich panoramowych.

Modę na obrazy panoramowe, a co za tym idzie, niemałe profity, wykorzystywali zarówno podrzędni malarze, jak i artyści wybitni. Dzieła tych drugich doceniane przez środowiska artystyczne i wyrobionych odbiorców z kręgów finansjery i arystokracji, przy-

ciągały także masową publiczność, dla której był to niejednokrotnie jedyny kontakt ze sztuką. Do bardziej znanych panoram należały np. *Widok Paryża* z początku XIX w. Pierra Prévosta, *Londyn widziany z kopuły Katedry św. Pawła* z 1829 roku Edmunda Parrisa, malowane w latach 1832-1860 płótna Jeana Charlesa Langlois: *Bitwa pod Navarin*, *Bitwa pod piramidami*, czy *Zdobycie Sewastopola*, *Oblężenie Paryża* z 1873 roku Feliksa Emanuela Philippoteaux, *Bitwa pod Waterloo* i *Ostatnie dni Komuny Paryskiej* Charlesa Castellianiego, *Bitwa pod Champigny* z roku 1882 i *Bitwa pod Rezonville* z 1883 roku spółki malarzkiej Edouarda Detaille'a i Alphonse Neuville'a, *Bitwa pod Sedanem* Antona Wernera (uznawana w Niemczech za jedno z najlepszych pokazów panoramowych i wystawiana nieprzerwanie do roku 1914), *Widok Kairu i brzegów Nilu* Emila Wautersa z roku 1880, *Rio de Janeiro* i *Panorama Weissenburga* Ludwika Brauna z lat osiemdziesiątych, Alfred Stevens i Henri Gervex na paryską Wystawę Światową z okazji stulecia Rewolucji Francuskiej namalowali panoramę zatytułowaną *Historia Wieków*. W latach osiemdziesiątych XIX w. pojawiło się zapotrzebowanie na widowiska panoramowe o tematyce religijnej, najczęściej z przedstawieniem Ukrzyżowania Chrystusa.



Fragment panoramy w Częstochowie.

W kompozycjach o tej tematyce specjalizowali się np. trzej malarze niemieccy - Bruno Piglhein, Karl Frosch i Josef Krieger, którzy w 1886 roku wspólnie wykonali panoramę *Ukrzyżowanie Chrystusa*, wystawioną z wielkim powodzeniem najpierw w Monachium, następnie w Dreźnie i Wiedniu. Panoramy zaczęto też wystawiać w miejscowościach pielgrzymkowych. Karl Frosch i Józef Krieger powtórzyli *Ukrzyżowanie Chrystusa* w jedenaśtu replikach, które trafiły m.in. do Altötting, St. Anne de Beupré, Einsiedeln i Częstochowy.

Przed pojawieniem się w Polsce panoram rotundowych znane były inne formy przedstawień panoramowych i spektakli iluzjonistycznych, m.in. kosmorama, teatrzyki mechaniczno-optyczne, latarnie magiczne. Owe „panoramy” objazdowe wytwarzały zwykli malarze cechowi lub dekoratorzy. Malowidła te, eksponowane w „budach wędrownych”, przewożone z jednej miejscowości do drugiej, pokazywane na jarmarkach, wrażenie trójwymiarowej rzeczywistości dawały dzięki szkłom optycznym.

Pierwszym polskim artystą, który zamierzał zbudować panoramę w Warszawie był działający w Monachium Józef Brandt. W roku 1887 rozpoczął poszukiwanie przedsiębiorcy, który podjąłby się sfinansowania rotundy dla panoramy *Berezyna*, mającej zapoczątkować działalność firmy. Z braku inwestora dla całego przedsięwzięcia Brandt wycofał się z projektu. Kilka lat później, w roku 1894, pomysł ten podjęli Julian Fałat i Wojciech Kossak przy współpracy Antoniego Piotrowskiego, Kazimierza Pułaskiego, Jana Stanisławskiego i Michała Wywiórskiego. Panorama powstała w Monachium, premierę miała w Berlinie 1 marca 1896 roku, zdobywając od początku dużą popularność. Warszawskiej publiczności została udostępniona dopiero w roku 1898.

Pierwszą polską panoramę zawdzięczamy Janowi Stycy. Ukazywała bitwę polskiego wojska z Rosjanami pod Raclawicami w roku 1794 i powstała specjalnie na Powszechną Wystawę Krajową we Lwowie, zorganizowaną w setną rocznicę Insurekcji Ko-

ściuszkowskiej, czynną od 5 czerwca do 16 października 1894 roku na przedmieściu Stryjskim. Jej organizatorzy, oprócz wytworów rzemiosła, przemysłu i rolnictwa rozlokowanych w 120 pawilonach, wzorując się na głośnych wystawach europejskich, przygotowali również ekspozycje z zakresu sztuki, wznosząc w tym celu tzw. Pałac Sztuki. Miała tam miejsce pierwsza pośmiertna wystawa Jana Matejki, wystawa sztuki współczesnej (1887-1894) oraz wystawa retrospektywna sztuki polskiej (1764-1886). *Panoramę Raclawicką* pokazywano w szesnastobocznej rotundzie o średnicy około 40 m, wysokości na 18 m, nakrytej kopułą, która stała blisko głównego wejścia na teren wystawy.

Obraz mierzący 120 m długości i 15 m szerokości Styka i zaproszeni przez niego do współpracy artyści - Wojciech Kossak, Zygmunt Rozwadowski, Tadeusz Popiel, Niemiec Ludwik Boller i okresowo Teodor Axentowicz - malowali we Lwowie *in situ* od sierpnia 1893 do maja 1894 roku. *Panorama Raclawicka* stała się największą atrakcją Powszechnej Wystawy Krajowej i obejrzało ją kilkaset tysięcy osób. Po drugiej wojnie światowej obraz anektował Związek Radziecki i dopiero w roku 1985 został wyeksponowany w kraju, w specjalnym pawilonie wybudowanym we Wrocławiu. Jest to jedyna panorama zachowana w Polsce.

Sława i uznanie, jakim cieszyła się *Panorama Raclawicka*, spowodowały, że Jan Styka w roku 1895 przystąpił do malowania swojego drugiego obrazu panoramowego - *Ukrzyżowania Chrystusa*.

Przygotowania do tej realizacji Styka rozpoczął od podróży do Ziemi Świętej, podczas której zapoznał się z topografią terenu, krajobrazem i architekturą. Dwa wielkie płótna - *Pocałunek Judasza w ogrodzie Getsemani* i *Zmartwychwstanie Chrystusa* - artysta ukończył jesienią 1895. Fragment panoramy przedstawiający wyrok śmierci na Jezusa oraz scena ukazująca ostatnie chwile przed ukrzyżowaniem były gotowe przed końcem pierwszego półrocza 1896 roku. Przy panoramie pracowali również Tadeusz Popiel, Zygmunt Rozwadowski i Jan Stanisławski (tło krajo-

brazowe). Panoramę, która liczyła 15 m wysokości i 60 m długości, można było oglądać we Lwowie w lipcu tegoż roku.

Niemal w tym samym czasie co Styka, nad obrazem panoramowym o tej samej tematyce w jednej z wynajętych w Monachium rotundzie - atelier pracowało trzech artystów: Stanisław Radziejowski, Antoni Piotrowski oraz Ludwik Boller, który wcześniej znalazł się w zespole malującym *Panoramę Raclawicką*. Płótno zamówił dr Henryk Lgocki.

Lgocki, urodzony w 1861 r. w Lgocie pod Wadowicami, prawnik po studiach na Uniwersytecie Jagiellońskim, entomolog-samouk i kolekcjoner, brał udział w badaniach przyrodniczych w okolicach Krakowa, w Tatrach i na Podkarpaciu. Po przeprowadzce w drugiej połowie lat 90. z Krakowa do Częstochowy, w latach 1899-1903 wspólnie z entomologami warszawskimi zajmował się owadami żyjącymi w okolicach Częstochowy, Zawiercia, Złotego Potoku i doliny Warty. Oprócz pracy naukowej Henryk Lgocki rozwinął też zupełnie inną działalność, prowadząc dochodową firmę panoramową. Jego pierwszym przedsięwzięciem była wystawa panoramy *Golgota* w Częstochowie, u stóp klasztoru z cudownym obrazem Matki Bożej, do którego co roku przybywały tłumy pielgrzymów.



Rys. Arkadiusz Zajac

Przed przystąpieniem do malowania, Stanisław Radziejowski - tak jak Styka - wyjechał do Jerozolimy, wykonując na miejscu wiele szkiców, które pomogły odtworzyć na płótnie tamtejszy krajobraz i architekturę. Twórcy panoramy przestudiowali także dostępne opracowania historyczne i archeologiczne, nie pomijając dzieła żyjącego w pierwszym wieku naszej ery żydowskiego historyka Józefa Flawiusza. Obraz mający 10 m wysokości oraz 94 m w obwodzie Radziejowski, Boller i Piotrowski malowali sześć miesięcy. Ukazywał widok Jerozolimy na tle otaczających ją wzgórz i przyrody, które widz oglądał z poziomu dachu jednego z budynków. Na płótnie odtworzono wszystkie ważniejsze budowle istniejące w czasach Chrystusa – zamek Heroda, świątynię Izraelitów, zamek w którym urzędował Piłat, pałac Machabeuszów, ratusz i archiwum, teatr i hipodrom, plac zgromadzeń i zabaw ludowych, mury obronne z bramami, ogrody, ulice i domy oraz sceny rodzajowe z udziałem zwykłych mieszkańców. Centralny punkt kompozycji stanowiła scena z ukrzyżowanym Chrystusem oraz grupa zrozpaczonych uczniów i krewnych z Marią Panną stojących u stóp krzyża. Z boku żołnierze rzymscy dzielili się okryciami skażanów, na stokach góry przesuwali się widzowie egzekucji. W oddali widać było karawany, w kramach pod murami miasta trwał handel, po drogach poruszali się podróżni, pieszo lub na osłach, nieświadomi lub obojętni wobec tragicznych wydarzeń. Jedna z sekwencji malowidła ukazywała Judasza zdążającego ku swemu przeznaczeniu – samobójczej śmierci przez powieszenie.

Panorama na przełomie czerwca i lipca 1896 roku została przywieziona do Częstochowy. Uroczyste otwarcie wystawy, po nabożeństwie w kaplicy NMP na Jasnej Górze oraz poświęceniu rotundy przez kanonika Nowakowskiego, proboszcza w kościele św. Zygmunta, miało miejsce 22 lipca. W uroczystościach brało liczne grono artystów, dziennikarzy, literatów i zaproszonych mieszkańców Częstochowy.

*Golgota* Częstochowska o pół roku wyprzedziła ekspozycję obrazu Styki w Warszawie. Co prawda, w roku 1896 pojawił się w Warszawie inwestor zainteresowany dziełem Styki, ale budowę rotundy rozpoczęto dopiero pod koniec lipca, a ukończono w grudniu. Inwestorem był kompozytor i pianista międzynarodowej sławy Ignacy Paderewski, który wspólnie ze Stanisławem Roszkowskim i Emanuelem Zarembą kupił posesję, dawniej hrabów Tarnowskich, usytuowaną przy Krakowskim Przedmieściu naprzeciw Hotelu Europejskiego. Rotundę zaprojektował znany warszawski architekt Karol Kozłowski. Była to imponująca budowla w stylu renesansu florenckiego, w kształcie regularnego szesnastoboku, o średnicy 40 m wewnątrz murów, nakryta spłaszczoną kopu-

łą o konstrukcji żelaznej, zwieńczonej z gloriętą. Obwód ścian zewnętrznych wynosił około 130 m, budynek bez gloriety miał około 25 m wysokości. Obraz został wystawiony w styczniu 1897. Równocześnie z *Golgota pokazano* dioramy *Emaus* Józefa Mehoffera i *Ogrójec* Jana Stanisławskiego, następnie m.in. panoramę *Berezyna*. W roku 1904 *Golgota* Styki została wywieziona na wystawę przemysłową do Stanów Zjednoczonych, skąd już nie powróciła.

Karol Kozłowski, autor wielu kamienic dochodowych w stolicy i na prowincji oraz budynków użyteczności publicznej (teatrów, kościołów), pałaców i dworów ziemiańskich, w tym samym roku 1896 powstał w Warszawie drugi pawilon przeznaczony do ekspozycji obrazów panoramicznych i dioram, usytuowany przy ul. Oboźnej na Dynasach, również w formie rotundy, tym razem dwunastobocznej, o bardziej klasycznej architekturze. Zbudował ją dla Henryka Lgockiego, i jego drugiej w kolejności panoramy, tym razem krajobrazowej. W rotundzie-atelier w Monachium płótno ukazujące panoramę Tatr malowali przez rok: Stanisław Janowski, Stanisław Radziejowski, Kacper Żelechowski, Władysław Wankie, Ludwik Boller i okresowo Teodor Axentowicz. Podczas prac Ludwik Boller spadł z rusztowania i wyniku doznanych obrażeń po kilku dniach zmarł w szpitalu. Obraz liczący ok. 15 m wysokości i ok. 120 m długości miał premierę w Monachium w czerwcu 1896, a w Warszawie pokazano go w listopadzie tegoż roku. Zadziwił dokładnością wykonania, znakomitą perspektywą, umiejętnością oddania atmosfery tatrzańskiego krajobrazu. Widz oglądał góry z Miedzianego, pomiędzy doliną Morskiego Oka a Pięciu Stawów. Przesuwając się po platformie widokowej mógł rozpoznać każdy szczyt, każdą znaną mu ścieżkę. Panoramę uzupełniały grupy turystów, taterników, miłośników polskich gór, w tym tak znane osobistości, jak np. doktor Tytus Chałubiński, ksiądz Stolarczyk, malarz Stanisław Witkiewicz, Wojciech Gerson. W 1900 roku Jan Styka na kupionym na licytacji płótnie *Tatry* namalował panoramę *Męczeństwo chrześcijan*, wywołując protesty autorów i środowiska artystycznego.

Karol Kozłowski, budowniczy obu pawilonów rotundowych w Warszawie, zapewne zaprojektował także rotundę w Częstochowie. Rotundy w Warszawie w drugim dziesięcioleciu XX wieku zaadoptowano na sale teatralne.

Henryk Lgocki w sierpniu 1897 zorganizował kolejne widowisko panoramowe, tym razem w Łodzi. Była to panorama batalistyczna, namalowana przez wspomnianego wyżej niemieckiego artystę Ludwika Brauna i przedstawiała jeden z epizodów oblężenia Paryża w 1870 roku. Widzowie obserwowali przebieg wydarzenia z wysokości spalonego domu znajdującego się w środku walki.

Henryk Lgocki przed rokiem 1907 przeniósł się z Częstochowy do Moskwy, a przed rokiem 1910 zamieszkał w Kijowie, zajmując się m.in. handlem pomocami naukowymi i dydaktycznymi, w tym zbiorami okazów zoologicznych. W Kijowie zorganizował po raz kolejny ekspozycję swojej panoramy *Golgota*, skierowaną przede wszystkim do wiernych zdążających do prawosławnego sanktuarium w Ławrze Pieczęskiej.

Dla mieszkańców Częstochowy i dla pielgrzymów w roku 1899 przygotowano nową wystawę. W rotundzie pokazano dioramę zatytułowaną *Oblężenie Częstochowy przez Szwedów*. Obrazy dioramowe, z reguły znacznie mniejsze i obejmujące tylko część horyzontu, malowano techniką dającą efekty podobne, jak podczas oglądania widowisk panoramicznych, czyli iluzję trójwymiarowej rzeczywistości. Starano się je eksponować w sposób równie atrakcyjny, tworząc odpowiednią scenografię.

Obrona Jasnej Góry w czasie „potopu szwedzkiego”, urastając w okresie romantyzmu do jednego z symboli polskości i patriotyzmu, stała się tematem niezliczonych ilustracji prasowych i książkowych oraz zainspirowała wielu dziewiętnastowiecznych malarzy. Jednym z pierwszych, który wykorzystał ten motyw, był January Suchodolski, twórca *Obrony Częstochowy* z roku 1845 oraz mniej znanej kompozycji zatytułowanej *Szwedzi żądający wydania skarbów jasnogórskich*. W latach 50. Artur Grottger namalował *Szwedów grających w kości pod Częstochową* oraz *Kordeckiego adorującego Maryję, Patronkę Polski*. Na dwusetną rocznicę tego wydarzenia Leon Kapliński przygotował obraz *Obrona Częstochowy (Kordecki)*. Sprzed roku 1860 pochodzi obraz Franciszka Kondratowicza *Oblężenie Częstochowy*; z około 1861 *Miller pod Częstochową* Henryka Pillatiego. Jan Matejko namalował w roku 1884 niewielki szkic *Kordecki na murach Częstochowy, błagający o pomoc Bożą*, a rok później obraz na desce zatytułowany *Matka Boska na Jasnej Górze unosząca się nad klasztorem podczas oblężenia przez Szwedów*. Krakowski malarz Ludwik Stasiak był autorem obrazu *Obrona Jasnej Góry*, który został nagrodzony pierwszą nagrodą na konkursie ogłoszonym w 1896 roku przez krakowskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych.

Dramatyczne wydarzenia pod murami klasztoru w grudniu roku 1655 stały się także inspiracją artystycznego przedsięwzięcia na większą skalę. Na początku 1896 roku Józef Ryszkiewicz, warszawski malarz i krytyk sztuki w swojej pracowni w Żanecinie pod Warszawą rozpoczął pracę nad dioramą ukazującą oblężenie Częstochowy przez Szwedów, poprzedzoną długimi studiami nad historią klasztoru, wyglądem siedemnastowiecznej twierdzy, ówczesnych ryśntunków wojennych, sposobem walki. Obraz przedstawiał fortecę jasnogórską od stro-

ny północno-wschodniej. Na planie pierwszym wosko szwedzkie przygotowuje się do kolejnego ostrzału ustawiając wielkie działo pod dowództwem sztabu z generałem Millerem na czele. Pod murami widać powracającą do klasztoru wycieczkę obrońców dowodzoną przez Stefana Zamoyskiego. Wokół trwają przegrupowania żołnierzy szwedzkich, dziesiątkowanych przez ostrzał z twierdzy, z prawej strony obrazu namalowano szanice napastników z moździerzami. Pośród żołdaków czai się zębaczka Kostucha, według legendy zbierająca kule armatnie.

Obraz Ryszkiewicza miał premierę w Warszawie w pierwszym kwartale 1898 roku w Salonie Artystycznym Aleksandra Krywulta, mieszczącym się w Hotelu Europejskim, gdzie stał się dużą atrakcją. W Częstochowie był wystawiony przez kilka miesięcy w 1899 roku, na początku 1900 r. został przewieziony do Radomia, w lipcu tegoż roku został wystawiony w Łodzi w specjalnie wynajętym, obszernym lokalu, a w ostatnim kwartale 1900 roku był pokazywany w Kaliszu. We wrześniu 1901 roku diorama rozpoczęła objazd po miastach Gubernii Piotrkowskiej, zaczynając trasę od Sosnowca. W roku 1907 *Oblężenie Jasnej Góry* ponownie zaprezentowano widowni warszawskiej, tym razem w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych.

W roku 1903 kolejną wersję tego tematu w formie obrazu panoramowego, zamierzali wspólnie stworzyć Włodzimierz Tetmajer i Stanisław Janowski. Pomimo prac przygotowawczych oraz szkiców robionych w Częstochowie, artyści zaniechali tego przedsięwzięcia. Po pokazach w różnych miastach, do Częstochowy powróciła diorama Józefa Ryszkiewicza. *Przewodnik po Częstochowie* z roku 1912 zachecał do jej oglądania w pawilonie w III Alei 75. W tym czasie w rotundzie wystawiano także obraz panoramowy *Golgota*. Prawdopodobnie była to jedna z kilkunastu replik panoramy *Golgota* niemieckich malarzy Josepha Kriegera i Karla Froscha.

Epoka widowisk panoramowych, które nie były w stanie konkurować z tak atrakcyjną masową rozrywką, jaką na początku XX stulecia stało się kino, dobiegała końca. Budynek u podnóża parku w Częstochowie stracił swoją dotychczasową funkcję i był przez lata wykorzystywany w różnych celach. Rozebrano go po drugiej wojnie światowej.

Ilustracje za publikacją „Secesja na dawnych widokówkach Częstochowy. Katalog 1897-1906. Ze zbiorów Janusza Knapa”.

**Anna Dylewska**

*Na temat wystaw obrazów Głgota Stanisława Radziejewskiego i Obrona Częstochowy Józefa Ryszkiewicza w rotundzie częstochowskiej przygotowuję dłuższy artykuł.*

## JULIUSZ SŁOWACKI? OBECNY!

„Od teatru do dramatu i od dramatu do teatru – wystawa poświęcona życiu, twórczości i recepcji teatralnej dramatów Juliusza Słowackiego”

W kończącym się Roku Słowackiego Biblioteka Główna Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie, czcząc 200-lecie urodzin 160-lecie śmierci wieszca, w październiku b.r. otworzyła wystawę poświęconą „trwającej wiele lat, szczerzej i pełnej pasji teatromanii wybitnego poety i dramatopisarza” pod wyżej cytowanym tytułem.

Pomysłodawczynią i autorką tekstu do katalogu jest prof. AJD Anna Wypych-Gawrońska, zaś autorką scenariusza, aranżacji i bibliografii mgr Teresa Kulisiewicz z Działu Informacji i Bibliografii BG. Wystawa powstała we współpracy z Teatrem im. Adama Mickiewicza, który udostępnił materiały archiwalne związane z częstochowskimi premierami dramatów Słowackiego, biblioteka zaś pokazała część co cenniejszych zbiorów dotyczących twórczości wieszca. Warto też podkreślić, że wystawa przyciąga wzrok bardzo efektowną oprawą plastyczną.

Juliusz Słowacki był admiratorem sztuki scenicznej w różnych jej odcieniach i „zapalonym bywalcem teatralnym”, co przenosiło się i znajdowało odzwierciedlenie w tworzonych dziełach dramatycznych, a także w tekstach będących polemiką czy formą dyskusji o teatrze. Szeroko, z pasją i dogłębnie komentował wszystkie wydarzenia teatralne w listach do matki. Teatr bowiem był dla niego inspirującym i zarazem dyskusyjnym zjawiskiem artystycznym i kulturowym. Jak pisze prof. Anna Wypych-Gawrońska: „okazał się bardzo wnikliwym obserwatorem sztuki scenicznej, nie był przy tym w swoich spostrzeżeniach bezkrytyczny”, umiał bowiem doskonale podkreślać swoje preferencje w tym zakresie, wybierać i określać style inscenizacji, gry, interpretacji.

Wystawa zatem jest bardzo ciekawą kompozycją składającą się na niebanalną opowieść o J. Słowackim jako zaciekawionym i pełnym pasji uczestniku wydarzeń teatralnych Europy (Litwa, Polska, Anglia, Szwajcaria, Francja), a nie jako poecie i dramaturgu. Myślę, że powinno to docenić środowisko akademickie, dla którego wystawa powstała, choć będąc otwartą może służyć publicznie szerzej, np. młodzieży i miłośnikom twórczości wieszca. Niezwykle miłym i budującym akcentem otwarcia wystawy był prawdziwy tłum młodzieży szkolnej, dla której odbyło się ono w dwóch ratach, gdyż tak licznej grupy mała sala wystawowa nie była w stanie pomieścić.

*Joanna Grochowska*



**„... ja cię przeprowadzę przez teatr świata ...”**

**J. Słowacki Krak**



## Skrzypce Hubermana i palce Bella

Wtorek 20 października 2009 roku zapisze się w annałach poświęconych częstochowskiej kulturze jako dzień nie tylko niezwykły, ale i metafizyczny. Na scenie Filharmonii - w ramach VII Festiwalu Wiolinistycznego im. Bronisława Hubermana - miał miejsce nadzwyczajny koncert z udziałem amerykańskiego geniusza skrzypiec, Joshuy Bella.

Bell zaprezentował koncert skrzypcowy D-dur, op. 77 Johannesa Brahmsa na skrzypcach wykonanych przez Stradivariususa w 1713 roku, ongiś należących do Bronisława Hubermana, który tenże koncert wykonał przed samym kompozytorem... na tych właśnie skrzypcach! A to wszystko miało miejsce na deskach świątyni muzyki, która powstała na fundamentach częstochowskiej synagogi.

Wyjątkowo licznie przybyli goście i melomani mieli zaszczyt uczestniczyć w koncercie w obecności: sekretarza stanu w kancelarii prezydenta RP Elżbiety Juńczyk-Ziomeckiej, pani Elżbiety Pendereckiej ze Stowarzyszenia im. Ludwiga van Beethovena, przewodniczącego Światowego Związku Żydów Częstochowian i ich Potomków, Zygmunta Rolata, ambasadorów Francji, Australii, Wielkiej Brytanii, konsula Stanów Zjednoczonych i Izraela, naczelnych rabinów Nowego Jorku, Tel Avivu i Polski, prof. Sze-wacha Weissa oraz autora projektu powstałego i odsłoniętego tego dnia na ul. Strażackiej pomnika pomordowanych Żydów Częstochowian, izraelskiego rzeźbiarza a częstochowianina z pochodzenia, Samuela Willenberga, autorki „Last night” Cecilii Margules, pieśni skomponowanej i napisanej specjalnie z okazji odsłonięcia pomnika, wybitnego kompozytora o częstochowskich korzeniach Michaela Nymana oraz licznie przybyłych potomków pomordowanych Żydów i admirałatorów muzyki poważnej.

Wieczór został zainaugurowany ową pieśnią „Minioniej nocy śniłam...” („Last night”), przejmująco wspiewanej przez Gail Hadani, śpiewaczkę o niepowtarzalnym, pełnym dramatyzmu głosie.

Następnie przybyłych przywitał gość honorowy i fundator pomnika, a także sponsor festiwalu Zygmunt Rolat, który ze wzruszeniem mówił o sfinalizowaniu jego pomysłu budowy pomnika, tym samym o utrwalaniu w pamięci rodaków faktu wywiezienia z bocznic kolejowej Warta 40 tys. Żydów do Treblinki, a także o metafizycznym przesłaniu historii: że Joshua Bell będzie grał na skrzypcach dwukrotnie skradzionych Bolesławowi Hubermanowi a ofiarowanych kompozytorowi przez Jana hr. Zamojskiego, i że będzie grał w miejscu szczególnie ważnym dla Żydów jego pokolenia – w sali filharmonii, zbudowanej na fundamentach częstochowskiej synagogi, niegdyś pod względem wielkości

drugiej po wileńskiej, spalonej już w 1939 roku.

Koncert zainaugurowała VIII Symfonia h-moll „Niedokończona” Franciszka Schuberta, którą zagrała orkiestra pod batutą Jerzego Salwarowskiego, po czym przed publicznością wystąpił 42-letni wybitny wiolinista Joshua Bell. Jego finezyjna i mistrzowska gra urzekła publiczność, długo okłaskująca skrzypka, równie entuzjastycznie przyjmującą krótki utwór na bis. Solowa, pełna delikatności wirtuozerska gra objawiła nie tylko maestrię Bella, ale przede wszystkim bajeczne brzmienie instrumentu.

Długa owacja została stopniowo wyciszona przez dyrektora filharmonii Beatę Młynarczyk, która pozwoliła tym samym właścicielowi kawiarni Severino wręczyć bohaterowi wicezoru instrument wykonany w całości z czekolady.

Drobną rysą wieczoru był fakt, że nie zadabno o simultaneousne tłumaczenie mówiących wyłącznie po angielsku Cecilii Margules i Joshuy Bella, a wszak jesteśmy w Polsce, szczególnie, że zadabno o teksty angielskie dla części anglojęzycznej publiczności.

Sam bohater koncertu podkreślał w licznych wywiadach, jak ogromne znaczenie dla niego mają te skrzypce, kupione w 2001 roku. Huberman nigdy ich nie odzyskał, a po wielu latach do kradzieży przyznał się złodziej, też skrzypek, jak głosi legenda zazdrosny o talent częstochowianina. Wyglądający na szesnastolatka, o pięknych delikatnych i drobnych dłoniach Bell mówił też, że od zawsze Huberman był jego idolem, a on nomen omen uczył się w Nowym Jorku w pokoju pod portretem kompozytora, potem odkupił jego skrzypce, a teraz mógł zagrać w mieście mistrza.

Wielkie brawa należą się dyrektor Filharmonii Beacie Młynarczyk, która działając ze zrozumieniem potrzeb melomanów (ale nie tylko melomanów) doprowadziła do zaproszenia skrzypka, następnie prowadziła koncert z godną najwyższego uznania i szacunku klasą.

Wieczór był magiczny, niemal oniryczny, przy okazji stając się oddechem prawdziwej sztuki, takiej przez duże „S”.



Fot. Leszek Pilichowski

Joanna Grochowska

## Kochać, nie kochać?

**Z Januszem Mielczarkiem  
dziennikarzem, fotografikiem i literatem  
rozmawia Marian Panek**

*- Znamy się od dawna, pracowaliśmy razem w Urzędzie Wojewódzkim w Częstochowie w latach dziewięćdziesiątych. Ty jeszcze wcześniej, bo w siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Jak wspominasz swoją urzędniczą pracę - byłeś rzecznikiem prasowym wojewodów. Czy musiałeś dużo kłamać i tuszować ich polityczne wpadki?*

W Urzędzie Wojewódzkim zacząłem pracować krótko po utworzeniu województwa, we wrześniu 1975 r., angaż miałem jako starszy inspektor wojewódzki. Ponieważ polityką informacyjną zajmował się pion propagandy Komitetu Wojewódzkiego PZPR, więc byłem jakąś informacją nie mogła wyjść z Urzędu bez drobiazgowych uzgodnień z nimi. Bywało tragikomicznie. Dlatego przede wszystkim, przynajmniej do przełomu lat 80-90, byłem takim facetem, który trochę lepiej posługiwał się długopisem od innych urzędników. Trzeba pamiętać, że był to czas zakamywania się ożywienia, jakie na początku lat 70. wniosła tzw. „epoka gierkowska”. Próbowano więc przekonywać społeczeństwo przy pomocy słów, sprawozdań i innych akcji, oczywiście bez efektu. Ideologia była na Waszyngtona (najpierw na Okólnej) a odpowiedzialność za kulawy byt powszedni na Sobieskiego, w UW. Staralem się, aby referatowy język wojewody był w miarę zrozumiały i ludzki. Byłem jednak pierwszym ogniwem w łańcuchu, następnie, łącznie z akceptacją komitetową, były ważniejsze. Konieczność posługiwania się referatowym slangiem miała też dobrą stronę - potrzebowałem odmiany. W ten sposób, prywatnie, powróciłem do pisania małych form prozatorskich, które sprawdziły się na kilku ogólnopolskich konkursach. Pierwszą była główna nagroda na konkursie w Opolu w roku 1977. Z innych najbardziej cennie trzecią nagrodę w konkursie na debiut prozatorski Wydawnictwa „Iskry” w 1982 r., gdzie jurorami byli wspaniali ludzie polskiego pióra: Wacław Sadkowski, Henryk Berezka i Wiesław Myśliwski. W roku 1986 zaowocowało to wydaniem przez Krajową Agencję Wydawniczą w Łodzi mojego debiutanckiego tomu prozy „Zanim wyrzucą cię

z samolotu”, który - podkreślam - nie miał jakiegokolwiek związku ze sportami lotniczymi.

*Podaj jednak trochę więcej konkretów dotyczących współpracy z wojewodami.*

Moje ponad dwadzieścia lat pracy w gabinecie wojewodów częstochowskich (IX 1975 - I 1997), to temat na zupełnie inną opowieść, która już dzisiaj nikogo nie interesuje. Do roku 1992 pracowałem jednoosobowo. Informacje, jakie miałem przekazywać, otrzymywałem od wicewojewodów lub dyrektorów wydziałów uczestniczących w spotkaniach decyzyjnych u wojewody, na które nie byłem zapraszany. W swojej pracy przeżyłem sporo trudnych i ciekawych momentów. Najdramatyczniejszym i moralnie wstrętnym było zachowanie się partyjnych i rządowych zwierzchników wojewody Wierzbickiego w listopadzie 1980 roku, w czasie pamiętnego strajku „Solidarności”, w „Ikarze”.

*Powiedz trochę o czasach późniejszych, o latach dziewięćdziesiątych, o wizytach Ojca Świętego Jana Pawła II w Częstochowie.*

To dla mnie diametralnie różna skala przeżyć i doświadczeń. Zwłaszcza coś tak niezwykłego pod każdym względem, jakim był Światowy Dzień Młodzieży - 15 sierpnia 1991 r. Miasto przyjęło wówczas ponad milion młodych ludzi z całego świata. Sądzę, że z perspektywy minionych osiemnastu lat należy z wielkim szacunkiem ocenić jego wspaniałą organizację i wyjątkowy przebieg. Uczestniczyłem w tym zdarzeniu od początku, bowiem ks. prałat Marian Duda, rok wcześniej, w sierpniu 1990 r. powierzył mi przygotowanie



*Pożeganie z dziennikarzami, 1997*



*Z rodzicami*

konferencji prasowej, która odbyła się miesiąc później. Uczestniczyło w niej ponad czterdziestu dziennikarzy z najważniejszych redakcji w kraju. Widziałem również sytuację, kiedy ksiądz Marian z wyjątkowym wyczuciem i intuicją dobiierał sobie współpracowników do zespołu organizującego Dzień. Sprawdzili się znakomicie, choć nieudacznicy przyklejeni chwilowo do władzy, nie mogli niektórych zaakceptować. Wspominając tamten niezwykle dla Częstochowy czas, warto przypomnieć, że do zbudowanego przez wojsko dla czterdziestu tysięcy pielgrzymów ze Wschodu - tyle anonsowano - miasteczka namiotowego powstałego na południe od dzielnicy Raków-Zachód, przybyło siedemdziesiąt tysięcy. Że służby porządkowe nie mogły w nocy wjechać w aleje, bo deptaki, jezdnie i trawniki stanowiły największą w dziejach miasta sypialnię a na wolnych skrawkach tańczono i śpiewano w różnych językach. Wydaje się nieprawdopodobne, że przy tak ogromnej masie młodzieży a także dzieci (były grupy zorganizowane z zagranicy), korzystających z kilkudziesięciu zaimprowizowanych miejsc żywienia w terenie, pod namiotami, nie było problemów zdrowotnych. Przy rzeszy ludzi szacowanej na ponad milion, było tylko pięć przypadków hospitalizacji przybyłych. Przy „Promenadzie”, gdzie w harcerskich namiotach biwakowało ponad dwaście tysięcy młodzieży, w dwa dni po święcie nie było śladu po namiotowym miasteczku i doprowadzonych do niego mediach. Wracając myślą do 15 i 16 sierpnia 1991 r. oddać trzeba szacunek nadzwyczajnemu zapalowi i poświęceniu napędzającemu działania tysięcy ludzi z Częstochowy i całego ówczesnego województwa zaangażowanych w przygotowanie i przebieg tych Niezwykłych Dni. Sądzę, że decydował o tym przyjazd Ojca Świętego oraz autentyczny entuzjazm z odzyskanej niezależności i nadzieja na szybkie uporządkowanie polskich spraw. Dzisiaj, po doświadczeniach minionego dwudziestolecia, w takim wymiarze i przy ówczesnych środkach, byłoby to niemożliwe. Pytasz też, czy musiałem dużo kłamać? Wspominałem wcześniej, że nie miałem dostępu do faktów decyzyjnych, dlatego odpowiednie komunikaty sporządzałem na podstawie informacji urzędników ode mnie ważniejszych. Nawet jeśli

były kłamliwe, pokrętne, mogłem się tego tylko domyślać. Niektóre osoby z nowej ekipy po przemianach lat 90., a zajmowałem się kontaktami z prasą do 1 stycznia 1997 r., nie mogły pojąć, że nie gram na dwa fronty, że nie jestem połączony z jakimś bliżej nieokreślonym koleśiostwem z dawnych układów. Dlatego w pokoju zajmowanym z młodszym kolegą godzinami przesiadywało „ucho”. Smętny facet, który bezpośrednio po urzędowaniu szedł nadawać w wiadome miejsce, wówczas na ul. Dąbkowskiego. Odwiedzający mnie koledzy dziennikarze pamiętają z tamtych czasów haselko na ścianie w pokoju: „załatw sprawę i żegnaj”. Nie obrażali się, wiedzieli do kogo było adresowane. Wszęcy, nie ufając inteligencji smętnego, w roku 1993 chcieli mi nawet założyć podsłuch w mieszkaniu. W telefonach był od zawsze. Od każdego z moich szefów czegoś się nauczyłem. Byłem wobec nich lojalny, w zamian traktowany prawie po koleżeńsku. Nie muszę się wstydzić, że na któregośkolwiek pułem za plecami i dalej tego nie czynię, co przecież dzisiaj tak powszechne i swojskie. Miałem okazje przyglądać się niektórym bliskim współpracownikom wojewodów. Jeden miał u boku zastępcę tchórza, inny lenia - figuranta, a jeszcze inny tchórza - intrzyganta. Ten ostatni był najgorszy. Dzisiaj to wszystko jest bez znaczenia. Województwa nie ma i nie będzie. Pozostało tylko pamiętkowe wydawnictwo na jego 20-lecie, którego przygotowanie zainicjował w czerwcu 1994 r. wojewoda Jerzy Gula. Z województw powstałych po roku 1975 udało się to jedynie w Częstochowie.

Mogę sądzić, że współpracując ze mną częstochowskie środowisko dziennikarskie - a na początku lat 90. było tu osiemnaście redakcji, ich przedstawiciele i korespondentów - rozumiało moje problemy, cenilo otwartość na współpracę i równe traktowanie wszystkich. Do wodem na to nich będzie sympatyczne pożegnanie, jakie zgotowały mi w styczniu 1997 r. Koleżanki i Koledzy dziennikarze , za co im jeszcze raz, po latach, serdeczne dzięki.

*Jakie są Twoje rodzinne korzenie? Czy mocno związane z Częstochową?*

Moi rodzice do Częstochowy przybali 80 lat temu. Ojciec, pochodzący z Przystajni, z przedwojennego pogranicza, rozpoczął tu pracę, a mama, urodzona w okolicy Truskolas, przyjechała na naukę do gimnazjum. W Częstochowie się poznałi, osiedli, a później rzeczy koleją urodziłem się ja. Do 1947 roku mieszkałszy na ul. 3 Maja 10. To była wylotowa ulica z miasta, prowadząca na zachód. Można tam było wiele zbaczyć i przeżyć. Rynek Wieluński w czasie okupacji niemieckiej był nie tylko miejscem zaopatrzenia ale również ośrodkiem konspiracji AK-owskiej i miejscem straceń. Na ul. 3 Maja 6 (obecny dom księży emerytów) stacjonowała niemiecka obsługa lotniska wojskowego w Rudnikach. Pod 2/4 w oficynie u Sióstr Urszulanek mieszkała wysiedlona z Gdyni rodzina. Wyżej, pod 14 rodziny Pietrzykowskich i Kaznowskich. W stronę przeciwną, na ul. Jasnogórskiej 104, w drewnianym domu mieszkała pani Długoszowska, siostra Wieniawy, na-



J. M. kabaretowy

uczycielka, do której uczęszczałem na tajne nauczanie w ramach trzeciej klasy szkoły powszechnej. Po nauce w Liceum Sienkiewicza zamierzałem studiować architekturę w Krakowie. Zdałem nieźle ale miałem niedobre pochodzenie społeczne. Rodzice chcieli, żebym poszedł na rok do częstochowskiej Wyższej Szkoły Ekonomicznej, zanim w przyszłym roku ponownie podejście do Krakowa. Ponieważ działało to czasie, kiedy uprawiałem kolarstwo, z zaświadczeniem o zdanym egzaminie na Politechnice Krakowskiej pojechałem na uczelnię na rowerze i w krótkich spodenkach. Na wprost schodów był gabinet dziekana, więc wszedłem. Dziekanem był Leonard Hohense, mądry i pogodny człowiek. Moje wejście potraktował z uśmiechem, przeczytał papier i skierował do właściwego sekretariatu. Będąc na drugim i trzecim roku WSE próbowałem startować na ASP w Warszawie, ale bez efektu.

*W ruchu studenckim brylowałeś, pisałeś teksty literackie, fotografowałeś, występowałeś w kabarecie, organizowałeś różne imprezy. Powspomnij tamte czasy, znajomych. Może znajdziesz się kontekst do czasów nam współczesnych. Czy Twoje pokolenie ma dzisiaj swoje niezbywalne racje ?*

Nie przychodziło mi do głowy, żeby gdziekolwiek brylować. Byłem - może nawet za bardzo - „zapatrzony w głąb siebie”, pochłonięty pierwszymi smakami

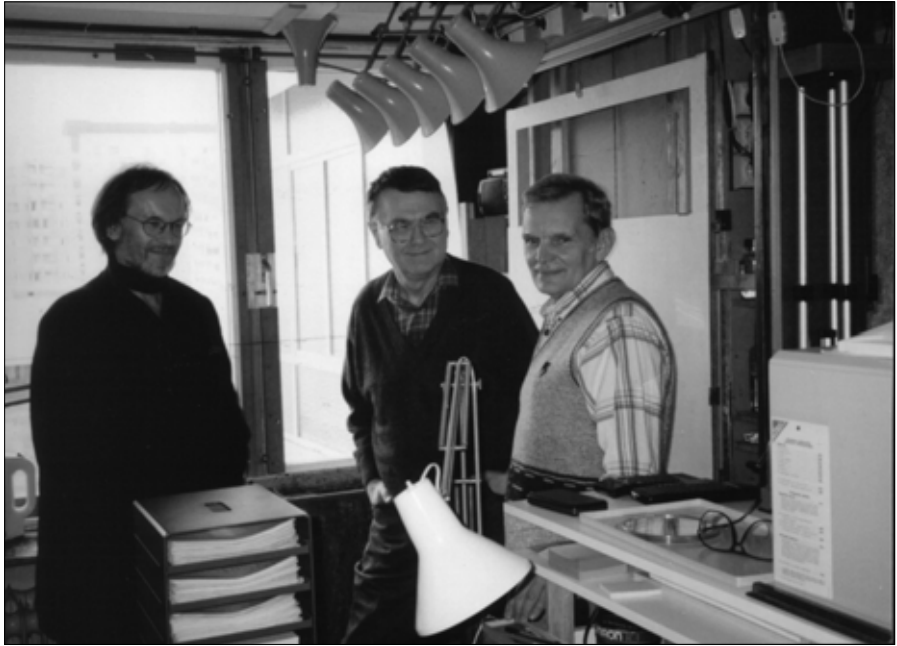
twórczości: teatrem, fotografią, poezją. Jestem tylko intuicjonistą. Chłonałem wiedzę o tych dziedzinach bardzo łapczywie. Wszystkiego uczyłem się sam. Zakochałem się w książkach, które do dwudziestego roku życia omijałem szerokim łukiem. Mogę śmiało powtórzyć za pisarzem: „wszystko, co jest we mnie dobre, zawdzięczam książce”.

*Jaką mieliście publiczność? Kto bywał na widowni ?*

Publiczność mieliśmy wspaniałą, bo choć czasy były wredne, to ludzie bardzo życzliwi i wrażliwi. Inaczej niż dzisiaj. Mieliśmy dziewczyny i wino patykiem pisane, ale przede wszystkim satysfakcję, że to co robimy, komuś jest potrzebne nie tylko dla rozrywki. Jako trochę inni i niepokorni, byliśmy z naszym teatrykiem na celowniku cenzury. Ponieważ lokalnego cenzora udało nam się zwieść w paru tekstach, to później, przed premierami, weryfikował nasze poczynania cenzor z Katowic. Tak czy owak, niektóre teksty miały fragmenty wykonywane w dwóch wersjach, tę oficjalnie ocenianą i tę poza nią. W Częstochowie przed przedstawieniami udawało nam się wysledzić na widowni panią cenzor, gorzej było w innych miastach. Był rok 1959 i „Bambino” występowało w Będzinie. W czasie przerwy przyszedł za kulisy niewiele starszy ode mnie facet i grzecznie zapytał, dlaczego zmieniłem tekst w wierszowanym monologu pt. „Piekielne dialogi”. Odpowiedziałem mu mniej grzecznie, że ja ten tekst napisałem i wiem najlepiej, jak brzmi. Wówczas on, nadal grzecznie, zaczął cytować z pamięci wersje, która była oceniana. Zamilkłem i zbłądłem. Mój rozmówca uśmiechając się zapytał, czy ma zacytować inne moje teksty satyryczne. Nie mogąc się doczekać chwili, w której wyduszę z siebie cokolwiek, wyjaśnił, że moich tekstów uczono go na kursach dla cenzorów, jako przykładów kamuflowania treści politycznych. Tym razem darował wspaniałościom, bo - jak się wyraził: - „Fajnie się bawicie a ja też jestem młody. Ale ma to być po raz ostatni”. Nie było.

*Przypomnij kabarety teatryki...*

W roku 1959 Politechnika Częstochowska miała mniej niż tysiąc studentów a WSE było w likwidacji. Na tej nielicznej, prowincjonalnej uczelni były dwa kluby studenckie - „Filutek” i „Kiks”, teatrzyk „Bambino” i kabaret literacki „Kameleon”, folklorystyczny zespół taneczny o międzynarodowej renomie, Grupa Literacka „Profile”. Dyskusyjny Klub Filmowy (powołany wcześniej jako międzyuczelniany), tworzyły się Akademickie Radio „Przemyt ... Mało? To była spora grupa „nawiedzonych”, którzy przedłużającym się studiowaniem płacili za teatrzyki, kluby, zespoły. Jeden z nas o ksywce „Żuzu”, tytuł magistra inżyniera otrzymał po dziesięciu latach studiowania. Mnie i moich kolegów śmieszy dzisiaj, jak niby poważni panowie z profesorskimi tytułami, którzy wówczas próbowali adorować teatrzykowe dziewczyny i, w najlepszym wypadku, przesunęły czasami dekoracje, ogłaszając publicznie swoje zasługi przy



Z Romanem Lontym i Zdzisławem Beksińskim

tworzeniu zespołów i organizowaniu ważnych dla środowiska imprez ogólnopolskich. Dzisiaj młodzi mają prościej, zwołują się dla „projektu” i po jego ewentualnej realizacji rozchodzą się, żeby w innym składzie robić następny. Taki jest kanon czasów niesprzyjających przyjaźniom, lojalności - czasów bezsensownego tempa i anonimowości. Działając w kulturze w tamtych burzliwych i ponurych czasach czuliśmy się barwniej, ważniej. Może dlatego wciąż jeszcze interesują nas nasze obecne losy a wielu po pracy gdzieś w Polsce wróciło do Częstochowy. Tutaj także mieszkają i pracują ich dzieci. Nasze relacje skupiały się bardziej na sferze wartości, które pozwalały BYĆ. Czasy były siemienne, z tępą władzą i wielu wspaniałymi ludźmi tak zwanej starej daty, którzy nie dali się ześwinić. Może dzisiejszemu czytelnikowi przybliży interpretacje tamtego okresu fragment ballady mojego autorstwa, wykonywanej na studenckiej scenie. Jest to wersja poza cenzurą, śpiewana na własne ryzyko wykonawców:

Ludzie o czystym sumieniu,  
Zapadniętych podbrzuszkach,  
Ludzie z pustą kieszenią  
O nieupaństwowionych duszach...

Dzisiaj, kiedy odwaga jest za grosze, to niby nic. Ale to miało miejsce pół wieku temu! A kilka lat wcześniej ludowa władza pakowała za kratki nawet za dowcip polityczny.

*Jesteś pomysłodawcą wielu artystycznych projektów, wystaw fotograficznych przede wszystkim. Jaka jest Częstochowa fotograficzna i nie tylko?*

Zabierając dzisiaj głos na temat fotografii, trzeba się liczyć z tym, że zaraz setka mądrali zacznie cię egzaminować z pikseli, matrycy itp. atrybutów fotografii cyfrowej. Doskonałość techniczna tego sprzętu spowodowała, że co drugi jego posiadacz to artysta, profesjonalista i koniec. Jego dzisiaj, tu i wyłącznie teraz, jest najważniejsze. To, co było, historia i cała reszta, to byli frajerzy z furmankami sprzętu, utaplani w wywoływaczach, z nosami wetkniętymi w powiększalniki. Ja, po części, wciąż taki jestem. W moim odczuciu fotograficzna Częstochowa funkcjonuje na dobrym poziomie. Dwie międzynarodowe cykliczne imprezy: Salon „Martwej natury w fotografii” (od 2003 r) i „Cyberfoto” (od 1997), organizowane z łaskawym mecenatem Pana Prezydenta Tadeusza Wrony, to znaczące akcenty w polskim życiu fotograficznym. Są również cenne i ważne konkursy lo-



Z *Arturzem Barcisiem*

kalne: „Gazety Wyborczej” i „Klimaty Częstochowy”. Fotografia jest podstawą ekspozycji w Galerii WOK - Art Regionalnego Ośrodka Kultury, zajmuje coraz więcej miejsca w ekspozycjach Miejskiej Galerii Sztuki, OPK „Gaude Mater”, w Muzeum, w kawiarniach i klubach. Po raz drugi w Teatrze u Stacherczaka, mieliśmy szczęście oglądać wystawę najlepszej polskiej fotografii prasowej - Grand Press Foto, która odwiedzi niewiele miast w Polsce. Jest pięknie, że fotografia ma w Częstochowie wyjątkową i wierną publiczność. Wrzesień, październik i listopad tego roku dowodnie to potwierdzają. Dziesięcioro członków Związku Polskich Artystów Fotografików, kilkudziesięcioosobowa grupa Jurajskiego Oddziału Fotoklubu RP, pracująca na społecznych zasadach, od osmiu lat w ROK, wielu utalentowanych wolnych strzelców, to znaczący intelektualnie ładunek tej dziedziny. Mówią o fotografii przypominacie trzeba, że w roku 2002, z inicjatywą naczelnika wydziału Kultury i Sztuki UM, przy współudziale Miejskiej Galerii Sztuki, zorganizowałem w Częstochowie ogólnopolski plener fotograficzny, w którym obok znanych osobistości polskiej fotografii, uczestniczyli także młodzi fotografujący częstochowianie. Wystawę poplenerową po ekspozycjach w Częstochowie oglądano również w dwóch miastach Meksyku. Uczestnicy pleneru sprzed lat dopytują, kiedy będą ponownie zaproszeni na fotografowanie zmieniającej się Częstochowy. Mam pomysł na formułę takiego spotkania plenerowego, ale to zaledwie mała cząstka tego, co niezbędne, by taka impreza zaistniała.

*Może zdradzić ideę takiego spotkania fotografów?*

Według paru przyjaźnionych speców obiektywu w Polsce, jest bardzo atrakcyjna. Nic więcej nie powiem.

*Jako fotograf lubisz portretować ludzi kultury. Jak podchodzisz do tego zadania? Kim są portretowani, jak ich wcześniej przestrzegasz?*

Ty stałeś się pośrednio sprawcą tego, że w swoich wystawach autorskich lokuję zawsze część prezentującą ludzi kultury częstochowskiego środowiska. Jako dyrektor Biura Wystaw Artystycznych,

w roku 1993 zorganizowałem wystawę „Miejsca”. Była atrakcyjna i fotogeniczna. Odwiedziłem ją kilkakrotnie i zrobiłem sporo fotografii. Spodobały się. Muszę dodać, że wcześniej, przez prawie osiemnaście lat nie fotografowałem serio. Pozbyłem się sprzętu, wyposażenia ciemni i innych fotograficznych zabawek. Wkrótce przyszedł pomysł wystawy o częstochowskich galeriach, pokazałem ją w 1994 r. w „Kameleonie”. Dwa lata później, również w BWA, zaistniałem wystawą „Fotografie”, w której obok dużej części retrospekcyjnej oraz fotografii nowych, były też portrety częstochowskich twórców. Ówczesna szefowa miejskiej kultury powiedziała, że na wystawę dla Mielczarka nie da ani złotówki. Pomogli inni. Najwięcej dyrektor Oddziału PKO SA, Andrzej Żyński.

*Powróćmy jednak do pomysłu portretowania ciekawych ludzi, osobowości, które stworzyły wokół siebie jakiś kultury.*

Poprzez ich portrety staram się tworzyć mój szczególnie rodzaj sztambucha. Lokuję w nim osoby warte zapamiętania. To mój bardzo osobisty, a więc subiektywny wybór. Są w nim często ludzie, których nie akceptuję do końca, choć uważam, że coś ważnego robią dla innych, bądź są ciekawymi artystami. Z wieloma poznajemy się dopiero w czasie fotografowania. Wyznaję staroświecką dewizę: „nawet jeśli zając jest moim wrogiem, to trudno mu nie przyznać, że szybko biega”. To często komplikowało mi życie. Przecież dzisiaj to anachroniczny i nieobecny sposób patrzenia na bliźnich. Najpierw sowicy a później polityczne prostactwo wtoczyły ludziom prymitywny podział na czarne i białe, na dobrych i złych. Na moich wystawach i w wydawnictwach



im towarzyszących pokazałem blisko sto portretów wybranych przeze mnie osób. Niektórzy już odeszli, ich wizerunki pozostały. Czy po latach żałuję, że niektórych portretowałem? Nawet jeśli ktoś okazał się mniej tego wart, niż myślałem, to jego bieda, nie moja. Mam przygotowaną listę kolejnych, moim zdaniem, znaczących indywidualności, które chciałbym zaprosić przed obiektyw i na wystawę. Sporo jednak przeszkód po drodze, a właściwie jedna - kasa.

*Piszesz też w „Alejach 3”, masz swoją stałą rubrykę pt. „Fotografia z historyjką”. Dlaczego piszesz w tym dwumiesięczniku a nie np. w „Gazecie Częstochowskiej”, „Życiu Częstochowskim” czy innych pismach związanych z miastem i regionem? Co sądzisz o naszym piśmie?*

Nie należę do ludzi, którzy bez pisania nie potrafią żyć. Znam takich. Również w internecie od nich ciemno, dosłownie i w przenośni. Być może wynika to z różnorodności moich zainteresowań. Poza tym, pięć lat pracy w „Gazecie Częstochowskiej”, (1970-1975), kiedy jej nakład wynosił od 50 do 70 tys. egzemplarzy i, kiedy były jeszcze mutacje lubliniecka, kłobucka i myszkowska oraz magazyn „Nad Wartą”, wystarczy. Mówiąc o „Alejach”, dotykamy delikatnego tematu. Przecież to ważne dla Częstochowy i jej kulturalnego środowiska pismo jest tworzone na wpół społecznie. Gdyby nie determinacja Mariana Rawinisa i paru jesz-

cze „chorych”, kultura w 200-tysięcznym mieście nie miałaby swojego podstawowego rejestratora i rezonatora. Na szczęście, mimo stanu przedzapaściowego pismo nie pograża się treściowo i intelektualnie. Propaguję je często w różnych miejscach Polski na wystawach i plenarach fotograficznych, gdzie zbiera bardzo pochlebne opinie. Są numery lepsze i gorsze. Można dyskutować o poszczególnych pozycjach, ale nie ma chłamu i belkotu. Ponieważ ja „już nic nie muszę”, to moja współpraca z „Alejami” jest tylko drobną cząstką dodaną do tworzonej przez nie panoramy częstochowskiej kultury. Być może właśnie dzięki „Alejom”, ci którzy przyjdą po nas nie będą musieli się wstydzić swoich przodków. Jestem w niezręcznej sytuacji, bo ten nasz wywiad też będzie kobylasty, powiem jednak, że czasem te długie teksty dałoby się skrócić, z korzyścią dla nich, a podobne, bądź niewielu mówiące fotki też z nich usunąć. Pozyskane w ten sposób miejsce przeznaczyć na kilkudzianowe omówienie wydarzeń kulturalnych kwitowanych obecnie zdaniem jednym. Gdyby „Alejom” przytrafiło się coś złego, byłoby to dla środowiska kłeska. Ale czy to miasto musi kolekcjonować takie stany?

*Czy marzy ci się aby Częstochowa była miastem sztuki? Takimi ogłoszili się Poznań i Wrocław.*

W Liceum Sienkiewicza miałem nauczyciela rysunków. Był malarzem z Kresów, osiadłym tu po woj-

nie. Nazywał się Turski. Zapytany kiedyś przez nas, co sądzi o Częstochowie po kilkuletnim pobycie (był rok 1952), powiedział krótko: „miasto przemysłowo-religijno - złodziejskie”. Przemysłu zostało niewiele, z resztą różnie. Częstochowa przegrała swój los w roku 1998, z chwilą, kiedy przestała być ośrodkiem wojewódzkim. Wiadomo, że układ 49 województw nie mógł pozostać, ale były proponowane inne rozwiązania, w których Częstochowa jako miasto 13-14 pod względem ilości ludności i 17-18 pod względem potencjału gospodarczego, miała swoją szansę. Był jednak „drobny szczegół”. Opole, Gorzów Wielkopolski, Toruń, Zielona Góra i Kielce miały swoich skutecznych obrońców. Nasi parlamentarzyści - poza Jackiem Kasprzykiem - poddali się dyscyplinie partyjnej w zamian za niespełnione później obietnice funkcji i stanowisk. Przyglądałem się z bliska grom tamtego okresu. Niestety, przeważnie dość obrzydliwym. Widziałem też grabienie dawnych instytucji wojewódzkich przez Katowico-Katange, jak niezmiennie od lat określa wzajemne relacje wielu częstochowian. Przecież pierwszy po reformie administracji lat 90. wojewoda katowicki powiedział publicznie, że zrobi z Częstochowy wieś, i tak się dzieje. Nie może być inaczej, skoro na południe od nas ma być metropolia! Jeden czy drugi wicewojewoda stąd pochodzący - dla utrzymania pozorów - może sobie w Katowicach pokivać palcem w bucie. Ogłosić się miastem sztuki nie jest tak bardzo trudno, choć myślę, że niektórym z miejskich rajców długo by trzeba wyjaśniać o co chodzi. Prosto było, na przykład, zadekretować i ogłosić abyśmy kochali Częstochowę. Czy autorzy tego wezwania zapomnieli, że kocha się za coś? Może mogliby przytoczyć kilka przymiotów uwielbienia? Bo miłoścy ślepa wiadomo czym się kończy. Mam nadzieję, że nie łączą go z Sanktuarium Jasnogórskim, gdyż byłoby to nadużycie. Bowiem wierzący, bez względu na miejsce zamieszkania, winniśmy otaczać je czcią. Nie będziesz miał sztuki, jeśli nie będzie kultury w sprawach podstawowych: na ulicy, w sklepie, urzędzie czy kawiarni. Nie miejsce tu, by epatować truizmami codzienności, ale „flesze” - za które piękne dzięki - nie zastąpią częstochowskich zaniedbań w sprawach podstawowych. Przykro mi, ale nasze marzenia o Częstochowie - mieście sztuki, są na razie na poziomie pomazanych pseudo graffiti domów, klatek schodowych i sklepów, z czym nie można sobie poradzić. Innym się udaje. Wiem, że prezydent Rzeszowa przed urzędowaniem w magistracie objeżdża najpierw rundę po ulicach miasta. Poranne spostrzeżenia przekładają się na uwagi i dyspozycje do szefa straży miejskiej i naczelników wydziałów. Więc Rzeszów pięknieje. Mogłem niedawno się o tym przekonać po raz kolejny. Rzecz nie polega jedynie na dobrym funkcjonowaniu profesjonalnych instytucji kultury. Niektóre z nich w Częstochowie prezentują poziom wyższy niż w ośrodkach wojewódzkich. Częstochowianie, w swojej masie, ubożej. Potwierdza to liczny udział publiczności

w darmowych imprezach Nocy Kulturalnych. Najzdolniejsza młodzież wyjeżdża nie widząc tu dla siebie szansy na przyszłość. Ci z kasą mają atrakcyjniejsze zabawki. Jakież tam teatry, filharmonie, wystawy - dla nich? A cóż to takiego? Da się toto przerobić na markety?

*Czy jesteś szczęśliwy?*

Bułat Okudźawa napisał kiedyś do Agnieszki Osieckiej: “Życzę ci szczęścia, chociaż go nie ma”. Było to spojrzenie młodego człowieka (miał wówczas trzydzieści kilka lat) z ogromnym ciężarem najgorszych życiowych doświadczeń: był w czasie wojny na froncie “dzieckiem pułku” a później artystą dyskryminowanym przez sowiecką władzę. Po latach, po kolejnych operacjach serca, kiedy wracał do świata żywych, zdanie zmienił. Z wiekiem podchodzi się do życiowych doświadczeń bardziej selektywnie. Mniej bołą nawet największe porażki, bo sukcesy, jakiegokolwiek by nie były, to stany szybkiej przemijające niż kłeski. Poza tym pewnych darów losu, jak chociażby zdrowie, nie uważa się za oczywiste, jak to było w młodości. Zwłaszcza, gdy jest się po przejściach kończących dla wielu nieodwracalnie. Jeśli przy tym - mimo upływu lat - nie trzeba, jak to było niegdyś, nosić ze sobą pastylek nitrogliceryny, to jest super! Choć pamięć o tym, że stapa się “po żyletce” obowiązuje. Nie będę już “Hartwigiem” w fotografii ani postacią zastrubowaną w literackich annałach. Ale czy być facetem od którego uczy się różnych ważnych rzeczy ukochana wnuczka i, za którego w przyszłości nie będzie musiała się wstydzić, to mało? Jeśli w wieku i stanie, kiedy - jak wspominałem - “już nie nie muszę”, jestem jeszcze potrzebny innym, także młodym, a przy tym mam i realizuje nowe pomysły twórcze, czyli stany dostępne nielicznym, to na pewno można nazwać to szczęściem.

*No więc jak: kochać, czy nie kochać, to nasze miasto?*

Oczywiście, że kochać! Ale po swojemu. Także po to, żeby wspólnie odpiarać złe pomysły ludzi przypadkowych, którzy znaleźli się tu w czasach Peerelu z partyjnego nadania i, którzy dalej tu płyną. Skoro tu się urodziłem i - z małymi przerwami - żyję ponad siedemdziesiąt lat, to jest ono dla mnie najważniejszym miejscem na tym łożu padole. Z nim wiąże się najważniejsze chwile mojej i moich bliskich egzystencji i przemijania. I dlatego właśnie w tych słowach sporo gorzkich prawd i refleksji, z przeświadczeniem jednak, że jakiegokolwiek pisanie nie zostawia śladów na kamieniu a jedynie na wodzie. I tyle z niego pozostaje.

**Marian Panek**

*Rozmowę przeprowadzono w końcu sierpnia 2009 roku.*



## Spotkania "zakręconych" fotografią

Janusz Mielczarek

Kiedy w roku 2003 w czasie odbywających się po raz pierwszy Częstochowskich Spotkań z Fotografią usłyszałem sympatyczne słowa od wyjątkowego artysty, honorowego Prezesa Związku Polskich Artystów Fotografików - Pawła Pierścińskiego, który życzył kolejnych edycji imprezy, nie wierzyłem, że dotrzemy do spotkań numer 4, jakie we wrześniu i październiku 2009 r. zaanektowały wszystkie przestrzenie wystawiennicze Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie. Warto w tym miejscu poinformować, że jest to 1600 m<sup>2</sup>, a Galeria, pod tym względem, należy do trzech największych w Polsce.

Choć główną osią imprezy był IV Międzynarodowy Salon „Martwa natura w fotografii - Częstochowa 2009”, to artystyczny spacer pozwolił sobie rozpocząć od wystawy fotografii Jerzego Lewczyńskiego. Dyrektorowi MGS Czesławowi Tarczyńskiemu zawdzięczamy możliwość obejrzenia dokonań twórczych tej bardzo ważnej postaci polskiej fotografii okresu powojennego. O zamiarze sprowadzenia wystawy Lewczyńskiego mówił mi dwa lata temu. Doprowadził swój zamiar do końca, choć z ustalonej wcześniej partycypacji w kosztach wycofało się Muzeum w Gliwicach.

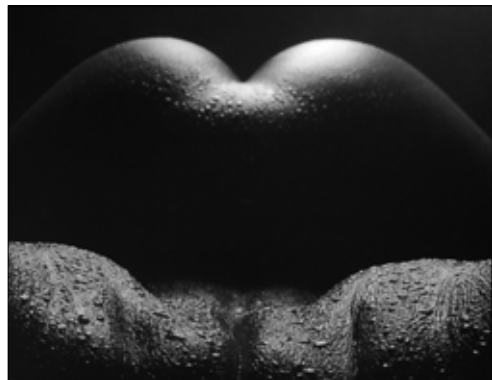
85-letni artysta, mieszkający w Gliwicach, wciąż pełen jest energii i humoru, potrafiący godzinami rozprawiać o fotografii, był gościem wernisażu. Przybyli również jego przyjaciele z Warszawy i Śląska. Prywatnie wiem, że w fotograficzny światek poszły wieści o dostojnym przyjęciu w Częstochowie seniora polskiej fotografii. Galeria zadbała o zrobienie bardzo dobrych, dużo formatowych wydruków z liczących często wiele lat oryginałów oraz o druk folderu - składanki. Jerzy Lewczyński pierwsze fotografie wykonał jako czternastolatek, w roku 1938. Członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików został w listopadzie 1959 r. (nr leg. 252). Wieloletni członek Rady Artystycznej Związku, a w latach 1975-1984 jej przewodniczący. Autor niezwykle ważnej, opublikowanej w 1999 roku „Antologii fotografii polskiej 1883 – 1984”. W roku 1959 w Gliwickim Towarzystwie Fotograficznym odbyła się wystawa „Pokaz zamknięty”, na której poza fotografiami Lewczyńskiego były również prace Bekszińskiego i Szlaba. Tworzyli oni w latach 1957-1960 nieformalną grupę fotograficzną. Alfred Ligocki nazwał później

tę wystawę „Antyfotografią”, ponieważ nawiązywała do ruchu fotografii subiektywnej. Ale Jerzy Lewczyński to także artysta poszukujący przeżyć i emocji twórczych w fotografiach rodzinnych, wykorzystujący negatywy i fotki znalezione w rupieciarniach. Zapomniałbym dać nowe życie, o którym nie marzyli ani fotografujący ani fotografowani. Na wystawie było też wiele komentarzy do polskiej rzeczywistości ostatnich 30 lat, przeważnie porażających nonsensem i po prostu zwyczajnie smutnych, tak jak tamten czas.

Zupełnie inne fotogramy prezentował Wacław Wantuch, czterdziestoparolatek, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, pracujący i tworzący nadal w tym środowisku. Artysta porusza się z wielką swobodą w swoim studio, gdzie fotografuje akty kobiece osiągając często zaskakujące efekty. Preferuje sesje zdjęciowe z amatorkami. Konsekwentnie stosuje jedno źródło światła sztucznego, wcześniej fotografował przy świetle dziennym. Dzięki temu - moim zdaniem - uzyskuje czystość formy, jej spójność - sedno zawarte w dwóch wymiarach fotogramu. Raz są to efekty prawie abstrakcyjne, uderzające, w innym przypadku niezwykle liryczne, wibrujące intymnością i nastrojem na progu ciszy.

Te piękne fotografie pokazują, jak wiele pracy fotografa i modelki składa się na ostateczny, artystyczny wizerunek. Z jakim szacunkiem człowiek za kamerą pochyla się nad osobą po drugiej stronie obiektywu i jak silnie związany jest z nią emocjonalnie.

Tym, którzy fotografują, lub będą fotografować kobiece akty, warto zacytować dedykację jaką Wantuch zamieścił w albumie „Akt 2” (Wyd. Bosz, 2006): „Dziękuję za czas i zaufanie, bez Waszej wytrwałości nie udało by się stworzyć tego albumu. Modelkom autor”.



Jedna z fotografii Wacława Wantucha



Jerzy Lewczyński

Zabrzmio to dziwnie, ale najtrudniej jest mi pisać o będącym osiłą Spotkań IV Międzynarodowym Salonie „Martwej natury w fotografii - Częstochowa 2009”. Dlatego, że czuje się jakbym pisał o swojej wystawie i swoich fotografiach. Przez cztery edycje Salonu, zaczynając od otwierania kopert z pracami, a na rozmowach wernisażowych kończąc, to wszystko wciąż jest we mnie. Gdybym był etatowym pracownikiem Galerii, byłoby to tylko jedno z wielu zadań zawodowych, w mojej sytuacji jest to coś szczególnego. Pamiętam większość prac, jakie przewinęły się przez Salon od jego pierwszej edycji. Łączę je z nazwiskami autorów. Z wieloma nawiązaliśmy kontakt osobisty, telefoniczny. A ponieważ sam jestem jeszcze czasami - bez „wyścigowych” aspiracji - po tej samej stronie, dlatego tak to przeżywam. Tak było i w tym roku, kiedy przyjęliśmy ostre kryteria selekcji prac nadesłanych na konkurs.

Po najwyższe trofeum - Grand Prix Prezydenta Miasta Częstochowy - sięgnęła częstochowianka Małgorzata Kozakowska, pokazując dwa różne zestawy prac (nagroda za całość) wykonane w tradycyjnej, trudnej do rozszyfrowania jej własnej tech-

nice. Ciekawa jest droga Kozakowskiej do tego lauru. W czasie ocen jury pierwszego Salonu pomagała przy selekcji prac przyjętych i odrzuconych. Na drugim otrzymała wyróżnienie regulaminowe i Pisma Artystycznego „Format”, na kolejnym, w roku 2007, nagrodzono ją trzecią nagrodą.

Nagrodę Dyrektora MGS w Częstochowie otrzymała artystka z Krakowa, Monika Stachnik-Czapla za nastrojową i bardzo malarską fotografię „Odbicie”. Jej wyróżniające się prace oglądaliśmy już w roku 2005.

Jan Zych z Krakowa, laureat trzeciej nagrody, towarzyszy imprezie od początku. Jego tryptyk stworzony przy użyciu techniki cyfrowej, w sposób atrakcyjny ale oszczędny wykorzystuje możliwości tego popularnego dzisiaj narzędzia twórczego.

Ogląd fotografii autorek i autorów wyróżnionych na Salonie daje przekrój postrzegania martwej natury na całej wystawie. Zaczynając od tradycyjnej fotografii Korneliusza Konska („Biblioteka babci Wiery”) z Baranowicz na Białorusi, poprzez pastisze Katarzyny Lament (seria martwych natur) z Gliwic i Weroniki Łucjan-Grabowskiej z Piaseczna („Dziewczyny Newtona „), poprzez nastrojowe „liście” Natalii Lisek-Borowicz z Bielska-Białej, a na pełnym dramacie montażu Eugeniusza Nużyńskiego („Walizka z portretami”) z Gdańska kończąc.

Miłośnicwie nam panujący Prezes Fotoklubu RP, Mieczysław Cybulski, który od początku - poza Prezydentem Miasta Częstochowy - patronuje Salonowi, przybył i osobiście dekorował laureatów medalami i dyplomami. Szkoda, że nie mieliśmy więcej nagród, wielu jeszcze autorów na nie zasługiwało. Sądzę, że publiczność miała sporą frajdę mogąc obejrzeć i porównać prace nagrodzone na poprzednich Salonach.

Na zakończenie spotkaniowego przeglądu jeszcze moja skromna wystawa „Natury mistyczne”. Właściwie sprawę kwituję notką zamieszczoną w informatorze Spotkań wydanym przez MGS: „Wystawa prac pomysłowcy i wioletolego ko-

misarza Salonu - Janusza Mielczarka. Autorskie realizacje tematu martwej natury, co, w sensie warsztatowym, służyć może za przykład uczestnikom konkursu.” Dodam, że na wystawie było 40 fotografii oraz instalacje, a pierwsze tego typu fotografie zrobiłem w roku 1999, w dwa lata po tragicznej śmierci Mariana Michalika, świetnego malarza tego gatunku, którego wcześniej portretowałem. Wśród moich fotografii spotkałem się z uczestnikami Częstochowskiego Pleneru Malarckiego oraz z czytelnikami „Gazety Wyborczej”, których w ramach akcji „My Wam to pokazemy” pilotował Tadeusz Piersiak.

Wreszcie to, co najważniejsze - widzowie. Ci dopisali nie tylko na wernisażu, na który przybyli m.in. z Warszawy, Sandomierza, Wrocławia, Bielska-Białej, Śląska, Krakowa, Kielc a także z zagranicy. Prowadzone z gośćmi rozmowy oraz zasłyszane opinie sugerują, że tylu osób głęboko przeżywających fotograficzne święto nie było jeszcze w częstochowskiej Galerii. Na inauguracyjny wieczór częstochowskich Spotkań rodzinyjechały 200-300 kilometrów tylko dlatego, że tata, mama albo córka mieli na wystawie zdjęcia. Przy-

byłe z Wrocławia siostry zakonne, których prace nie znalazły się na wystawie, chciały przekonać się osobiście o tym, jaka tematyka dominuje na Salonie i jak to robią inni. Goście podziwiali rozmach ekspozycji. Wielu nie wyobrażało sobie, że wysyłał prace na imprezę eksponowaną w takich przestrzeniach i tak profesjonalnie. Udowadnia to, że ważne wydarzenia kulturalne mogą być organizowane nie tylko w stolicy i w dużych ośrodkach. Także poza wernisażem wystawy cieszyły się powodzeniem u publiczności. Odwiedzali je starsi i młodszy, ci ostatni również w grupach. Zabrakło takich z położonego ok. 300 m od Galerii Liceum Sztuk Plastycznych.

IV Międzynarodowy Salon „Martwa natura w fotografii - Częstochowa 2009” rozpoczął wędrówkę po Polsce. W październiku i listopadzie gościł w Galerii Fotografii Miasta Rzeszowa, na wiosnę będzie w Olsztynie i w galerii ZPAF - BWA w Kielcach. Prowadzone z innymi galeriami rozmowy dają nadzieję, że na tym się skończy. I bardzo dobrze. Skoro wystawa żyje, to znaczy, że jest potrzebna. To daje napęd i energię do myślenia o Salonie roku 2011. Już piątym !

*Janusz Mielczarek*



Fot. Leszek Piłchowski

## Wciąga mnie to, co irracjonalne, intrygujące i piękne

Z Konradem Ludwickim  
rozmawia Dominika Radkowska

**Konrad Ludwicki** – członek Związku Literatów Polskich. Wydał zbiór opowiadań *Fiolet* (2001), monografię *Kino Marka Hłaski* (2004) i powieść *Lakrimma* (2008). Jest autorem tekstów z pogranicza antropologii literatury i sztuki. Publikował min. w *Bulionie*, *Horyzontach*, *Studium*, *Studia Historiolitteraria*. Zawodowo związany z Uniwersytetem im. Jana Kochanowskiego w Kielcach. Obecnie w przygotowaniu ma dwie książki: *W kręgu literatury i filmu* oraz dysertację habilitacyjną *Pisanie jako egzystencja (lizm) – refleksja autotematyczna*. „*Księga niepokoju*” *Fernando Pessoa*.

**Dominika Radkowska:** *Zajmujesz się krytyką i analizami porównawczymi wielu dziedzin sztuki. Pisanie jest narzędziem tych analiz. Również w formie pisanej wypowiadasz się twórczo. Czy na użytek prywatny potrafiłbyś stworzyć „ranking” gałęzi sztuki, które Cię interesują, czy dajesz im równouprawnienie?*

**Konrad Ludwicki:** Istnieje osobliwe współistnienie sztuk. Sztuki na siebie oddziałują, przenikają, uzupełniają... Trudno, powiedzmy, interpretować literaturę bez odniesień do malarstwa czy muzyki, bez pobieżnej choćby znajomości filozofii czy teatru. Fakt: każda ze sztuk ma inną ekspresję ale i posiada wiele cech wspólnych. Wszystkie bez wątpienia poszukują sensu. Niemniej, dla mnie najbliższa jest literatura. W niej próbuję się wyrazić. Ona, w moim odczuciu, poprzez narrację słowną stwarza największe – chociaż nigdy kompletne – możliwości przekazu. Literatura jest jakąś nieustanną próbą (bo w gruncie rzeczy zawsze będzie to jedynie próba) okiełznania teraźniejszości. Tak więc – odpowiadając na Twoje pytanie – literatura jest dla mnie, sparafrazując klasyka, najważniejsza ze sztuk. Okiełznanie języka i narzucenie składni słowom to główne wyzwania w procesie pisania. Pisanie stawia sobie za cel niejako uporządkować chaos istnienia. To pytanie na jakąś dysertację...

*Tematem Twojej rozprawy doktorskiej, a potem książki była proza Marka Hłaski i jej ekranizacje. Czy Hłasko to postać wybrana przez Ciebie? Czy jego pisarstwo odbierasz w szczególnie sposób? Czy po prostu posłużyło za obszar do omó-*



Fot. Piotr Dłubak

*wienia zagadnień związanych z przekładem prozy na obraz filmowy?*

Moja sympatia dla Hłaski jest właściwie pozorna. Pisarz stał się dla mnie – co częściowo zasugerowałaś – osobliwym pretekstem do skupienia się na filmach według jego prozy. To estetyka „czarnego filmu” fascynuje mnie dalece bardziej niż sam tekst Hłaski, który bez wątpienia nie jest też pozbawiony swojej oryginalności. Niemniej to styl i forma obrazu są zasadniczą treścią mojej książki i zainteresowań. Istotną pracą jest kino. Kino, w przypadku który rozpatruję, nie oznacza jedynie ekranizacji prozy Hłaski. Meritum jest raczej kwestia związana w ogóle z problemem szeroko rozumianego przekładu prozy na język filmu. I to nie na zasadzie analizy lecz przede wszystkim ze względu na próbę rekonstrukcji pewnych sensów – sensów możliwych do pokazania dziś, z perspektywy kilkudziesięciu lat.

*A jakie kino cenisz sobie najbardziej?*

Kino dobre i nietuzinkowe (śmiech). W polskim kinie ostatnich lat nie widzę nic na tyle oryginalnego, by mocno utkwilo, przynajmniej mnie, w pamięci. Po obejrzeniu współczesnych polskich produkcji na drugi dzień zaraz o nich zapominam – to dowód na ich miłałość. No może poza twórczością bardzo nielicznych – emblematyczny może być Krzysztof Krauze. Wyjątkiem jest też animacja – tam sporo się dzieje. To co robi Tomasz Bagiński, Piotr Dumala czy nieco starszy Zbigniew Rybczyński jest niebanalne. Jednak tęsknię wciąż za przyzwoitą fabułą, której – w moim

odczuciu – ostatnim wielkim nurtem było kino moralnego niepokoju. By obszar pytania zawęzić, powiem może jakich reżyserów cenię najbardziej, choć w swych sympatiach nie jestem z pewnością nazbyt niekonwencjonalny. Wciąż trudno znaleźć coś bardziej oryginalnego i cenniejszego w kinie, przynajmniej dla mnie, niż filmy Bergmana, Wajdy, Hassa czy Antonioniego. Uwielbiam większość filmów Felliniego, Bunuela i Rohmera, Lyncha i Polańskiego...

*Podobno nie możesz żyć bez muzyki?*

... ooo, tak. Większość pieniędzy wydaję na książki i płyty. Już nie mam gdzie ich trzymać, ostatnio część mnie przydatnych książek wyniosłem do garażu.

*Twoje uwielbienie dla muzyki widać w powieści „Lakrimma” – każda sytuacja ma odpowiednio opisany podkład muzyczny.*

Zgadza się. To kwestia stylistyki. Próba uwypuklenia, jak wspomniałaś – poprzez opis podkładu muzycznego – danego klimatu. Muzyka to emocje.

*Może by wykonać eksperyment polegający na czytaniu jej z słuchaniem odpowiednich ścieżek dźwiękowych...*

Jest to pomysł. Muzyka jako tło, jako dźwięk ade-

kwatny z przeżyciami bohatera... Jako fluid odpowiedni i stosowny dla danej sytuacji.

*Może się sugeruję, ale czy fakt, że w „Lakrimmie” jest tak wiele oryginalnych opisów stanów wewnętrznych, odczuć, skojarzeń jest wynikiem fascynacji pisarstwem Fernando Pessoa?*

Pewnie tak! Choć jak sądzę robię to zupełnie podświadomie. Fernando Pessoa to ten sam pień egzystencjalny, co przede wszystkim Kafka, Borges, Marai czy Cioran. Wszyscy oni sceptycznie odnoszą się (tzn. mało wierzą) zapisanym słowom mając jednocześnie silną potrzebę ich tworzenia. Wszyscy też budują labirynty myśli, z których wyjście (będące interpretacją) można znaleźć nie poprzez jakieś racjonalne uporządkowanie, lecz przede wszystkim „wychodząc” górą. Jest coś jeszcze. Pessoa próbuje odtworzyć swoje „autobiografowanie”, czyli próbuje wciąż do ciebie, czemu w danym momencie jego myśl idzie tym właśnie torem, a nie innym. Nieprzejędany los zderza się w życiu jednostki z jej wolną wolą; Pessoa niejako zapytuje: czy jednostka ludzka umie obronić swą niezawisłość i indywidualność – wolność wyboru, czy też może ugnie się przed stechnicyzowanym światem. Stąd też i pochwała doświadczenia transcendencji. Wszystko to interesuje mnie równie mocno. Pisarz – każdy pisarz (choć nie lubię tego słowa) – pojmuję (powinien pojmować), iż pamięć jest



Fot. Piotr Dłubak

niekompletna, iż istnieje „niekompletność pamięci”. Jest subiektywne zapamiętywanie, ale i zapominanie. Na szczęście – gdyby nie zapominanie groziłaby nam psychoza. Fragmentaryczność pamięci jest zbawieniem. *Lakrimma* jest niczym innym jak sporządzaniem relacji z wewnętrznej egzystencji. Człowiek nie może mieć niczego w swojej psychice, co by od niego pośrednio nie pochodziło. A że pojawiają się nielogiczności... cóż, swoiste absurdy są w każdym z nas. Powiedzieć można, iż przede wszystkim dwa przekonania stały się nadrzędnymi motywami *Lakrimmy*. Owe dwa naczelné wątki wyznaczają dopiero inne – niemniej one są zasadnicze. Pierwszy jest o osamotnieniu człowieka i wszystkim tym co z tego osamotnienia wynika, drugi (bardziej aluzyjny i metaforyczny) jest o poszukiwaniu Absolutu. I tyle...

*Twoja powieść ma intrygujący tytuł. Skąd wzięło się słowo „Lakrimma”? Czy archetypem jest łaciński wyraz „lzy”?*

Było moim zamiarem, by był intrygujący. Sam wyraz jest neologizmem. Niemniej – faktycznie – stworzony został niejako od łacińskiego *lacrima*. Ten wyraz był prototypem. Jego – choć nie dosłowna – interpretacja jest w treści książki. Nie bez znaczenia jest też pisownia przez dwa „m”. „M” to najbardziej nammmmmiętna litera. Łacińska *lacrima* nie oznacza jedynie „lzy” ale też i „kropłe”. Tworzą się różne pola semantyczne. Rozmawiałem niedawno z Tomkiem Sętowskim, który – pewnie nieco żartem – mówił jak istotną rolę odgrywają tytuły obrazów i ich treść. Myślę, iż sama myśl książki, a i tytuł idealnie korespondują z obrazem Arka Zająca *Lago*, który jest na okładce. Klimat obrazu oddaje treść prozy.

*Większość piosenek, książek i filmów traktuje o miłości... Zadaję sobie pytanie (na które potrafię odpowiedzieć we własnym imieniu i na które odpowiada też motto Twojej powieści) – skoro to temat tak popularny, można by rzec banalny, dlaczego ciągle twórcy po niego sięgają? Nie jest to nawet moda – popularność tego tematu jest chyba nieprzemijająca... Dlaczego Ty sięgnąłeś po ten temat?*

Sięgnąłem z jakiejś wewnętrznej potrzeby. Faktycznie – jak powiedziałaś – temat jest „można by rzec banalny”. Niemniej banał ma to do siebie, iż jest zawsze prawdziwy. Cały szkopał polega na tym, żeby ów banał przedstawić w sposób niebanalny i niesztampowy. Co też było moim zamiarem. Zresztą temat, a niech tam, miłości – to jedynie pretekst do opisu pewnych relacji międzyosobowych w ogóle. Miłość nie ma definicji i niczemu nie podlega. Prawdę mówiąc nie jestem pewien, czy to jest proza wyłącz-

nie o miłości w potocznym rozumieniu, jako jedynie relacji damsko-męskich. Jeden z recenzentów, prof. Witold Nawrocki, napisał, że w *Lakrimmie* „miłość odgrywa wielką formującą rolę”. Tak więc rzecz jest nie tyle o miłości, ile o jej roli i – jakkolwiek manierycznie to zabrzmia – znaczeniu. Niezręcznie jest mnie samemu, jako autorowi, klasyfikować własny temat. Myślę jednak, że *Lakrimma* jest również o nieustannym poszukiwaniu sensu, o jakiś tęsknotach i pragnieniach, i wreszcie o roli przypadków oraz przeznaczenia.

*Opisy stanów wewnętrznych bohaterów przeplatają się ze skrupulatnymi opisaniami świata zewnętrznego zawierającymi wspomniane już płyty, nazwiska czytanych pisarzy, a nawet nazwy marek i modeli różnych sprzętów oraz składniki spożywcze. Czy one przeniknęły do powieści z Twojego świata?*

Poniekąd. Książka zawiera wszystko to, co jakoś mnie kształtuje, co ma, bądź miało jakiś wpływ na mnie. Ostatecznie całość tekstu jest kreacją, ale i jakąś treścią wziętą – co przecież się nie wyklucza – z autopsji i empirii.

*Sporo czasu poświęcasz lekturze i czytaniu. Ale ostatecznie chyba nie bardzo potrafisz usiedzieć na miejscu? Lubisz się przemieszczać. Myślę, że to jeszcze mnoży Twoje zainteresowania...*

Z tym przemieszczaniem jest różnie. W gruncie rzeczy jestem domotorem i najwięcej czasu spędzam sam ze sobą w domu. Doznania duchowe mam wśród czterech ścian pokoju, gdzie są książki, płyty, Internet... Ale co czas jakiś trzeba odreagować. Część lata spędzam na wsi, na totalnym, w jak najlepszym tego słowa znaczeniu, zadupiu – piętnaście kilometrów od Szczekocin na Kielecczyźnie. Wieś nazywa się Ojślawie i nawet nie na każdej mapie jest zaznaczona. To tereny bliżej Jędrzejowa i Nagłowic. Z jednej strony las, z drugiej strony pola. Taka alienacja jest – przynajmniej dla mnie – potrzebna i konstruktywna. Najbardziej jednak lubię przemieszczać się w górach. Pieszko i na rowerze. W Polsce właściwie schodziłem już wszystko. Tatry, Beskidy, Pieniny, Jura... latem, zimą, jesienią. Czas jakiś temu pojechaliliśmy na rowerach do Włoch – około dwa tysiące kilometrów. Przez Słowację i Austrię, przez Alpy i Apenniny. Miejsiąc pedałowania. Takie wypadki dają sporo energii.

Krótki pobyt na Ukrainie zaowocował kąpielą w jeziorze Świtacz. Rewelacyjny, krystalicznie czysty zalew o długości dziewięciu kilometrów robi wrażenie. Wcześniej była Bułgaria i Warna, Niemcy i Bonn. Na temat mojego pobytu w Bonn Sławek Burszewski napisał nawet mini dramat. (śmiech)

*Podziwiałeś też fiordy w Skandynawii.*

Tak. Rok temu z przyjaciółką zrobiliśmy piękny szlak w Norwegii na górę Prekestolen. Chodziliśmy też po Bergen i Stavenger – świetne tereny. Mnóstwo przestrzeni, fiordy, dzika przyroda. Cicho i pusto. Inne niebo, inne światło. Dwa tygodnie spędziliśmy też w Oslo gdzie mam przyjaciół. Wszystko to – jak wspominałaś – „mnoży zainteresowania”, stając się osobliwą inspiracją. Muzeum Müncha, obrazy Van Gogha, Picassa, Memlinga, rzeźby Rodina i całej rzeszy klasyków europejskich, które oglądałem w Muzeum Narodowym w Oslo mogą być – a i są – jakąś sugestią, nie tylko literacką. Po nowym roku natomiast lecimy z przyjaciółką do Lizbony – miasta Fernanda Pessoa, którego *Księgę niepokoju* bardzo cenię. To inspirujące miasto, które jak na razie znam jedynie z książek. Jako że przyjaciółka Ola mieszka w Anglii, wcześniej pobędziemy w Londynie. Moje przemierzanie bywa też bardziej prozaiczne i wiąże się z miejscem pracy. Czas jakiś pomieszkowałem w Krakowie, gdzie pracowałem na Uniwersytecie im. KEN, a teraz co tydzień jeżdżę do Piotrkowa, gdzie pracuję jako adiunkt w filii Uniwersytetu Jana Kochanowskiego.

*Masz sentyment do epistolografii. Z tego, co mi wiadomo, posiadasz listy m. in. od filmoznawcy profesor Fidelskiej-Nurczyńskiej, sinolog Marzemy Szlenk, czy korespondencję od Jerzego Gieroycia. Którą z Twoich książek recenzował Jerzy Giedroyc?*

W przypadku tego ostatniego nie była to stricte recenzja lecz raczej opinia dotycząca opowiadania *Fiolet*, które wysłałem po napisaniu do Maisons-Laffitte. Redaktor napisał do mnie rodzaj listu z pozytywną opinią dotyczącą mojej beletrystki. Nie ukrywam, że była to dla mnie spora radość a i nobilitacja, tym bardziej, że Jerzy Giedroyc nieczęsto miał w zwyczaju odpowiadać na nadsyłaną mu prozę.

*Jaki jest Twój stosunek do formy? Jak podchodzisz do współczesnych postaci pisarstwa takich jak literatura, czy liternet?*

Literatura to przede wszystkim forma. Ona jest, przynajmniej dla mnie, czymś zasadniczym i pryncypialnym. Jednak takie zjawiska jak literatura czy liternet to coś jeszcze innego. To jakaś osobliwa forma literatury na styku technologii i hybridyzacji tekstu. Literatura to przecież dzieło totalne, bardziej nawet do oglądania niż czytania, to bardziej edytorstwo

niż słowo. Zresztą zjawiska – bo i są to zjawiska – są nazbyt nowe. Za wcześniej – przynajmniej w moim przypadku – się do nich ustosunkowywać.

*Pisanie Cię wciąga? Jest pewnie więcej takich pasjonujących Cię zajęć. Co jeszcze?*

Moje życie jest generalnie ubogie w fakty – choć to rzecz względna. Poza górami, muzyką, szachami i literaturą. Wciąga mnie wszystko to, co jest irracjonalne, intrygujące i piękne. Rzeczy racjonalne nie mają większego sensu. Ostatecznie jednak i tak najbardziej wciągające są kobiety i wiara. I jedno i drugie jest osobliwą łaską, ale i zasługą.

*Wspominaleś, że kiedy ubędzie Ci obowiązków związanych z pracą naukową, czyli kiedy zdobędziesz habilitację, chcesz więcej czasu poświęcić pisaniu. Te plany wiesz w większym stopniu z beletrystyką, czy krytyką?*

Zdecydowanie z beletrystyką. Chcę pisać – tworzyć, a nie powielać teksty z tekstów. Dziś zresztą nie widzę teorii o literaturze, lecz raczej wiedzę o literaturze. Naukowość najczęściej staje się jakąś kalką kalki – jakąś przeróbką i przeniesieniem tego, co powstało gdzieś na zachodzie Europy na grunt Polski. Jest powielaniem.

*Zbiór opowiadań pt. Fiolet wydany w roku 2001 był Twoim debiutem prozatorskim. Jak dziś, z perspektywy kilku lat, oceniasz tamtą prozę?*

... no tak minęło niemal dziesięć lat. Uff, mam świadomość pewnych – nazwijmy to – stylistycznych niedociągnięć. To co trafnie ujął swego czasu Jerzy Giedroyc: „opowiadanie *Fiolet* to dobry pomysł i ciekawe strony, ale całość jest w wielu wypadkach przeszarżowana”. Otóż właśnie jest tam osobliwe „przeszarżowanie”. W gruncie rzeczy pełnego zadowolenia, cokolwiek i kiedykolwiek by się wydawało w formie książki, nie będzie nigdy. To niewykonalne. Jeżeli poważnie myślisz o pisaniu i twórczości, wciąż będziesz malkontentem. I dobrze! Zadowolony mogę być z pisanie o najwyższej sms-ów. Mam świadomość braków ale i świadomość własnej wartości. By więcej zrozumieć i lepiej pisać trzeba więcej czytać. Sam odbiór prozy natomiast to problem czytelnika (śmiech). Ja staram się być we wszystkim wierny sobie. Ostatecznie i tak liczy się tylko to, co sami o sobie myślimy.

*Dziękuję za rozmowę.*

*Rozmawiała Dominika Radkowska*

## O wierszach Tadeusza Chabrowskiego

Elżbieta Hurnikowa

Tadeusz Chabrowski wiersze pisze od kilkadziesiąt lat, ma w swoim dorobku kilkanaście tomików wydawanych w Polsce i poza jej granicami. Zadebiutował w roku 1960 na łamach „Tygodnika Powszechnego”, publikował swoje utwory w różnych wydawnictwach i czasopismach (Oficyna Poetów i Malarzy, paryska „Kultura”, londyńskie „Wiadomości”, warszawska „Więź” i in.).

Wiersze Chabrowskiego otwierają wiele dróg interpretacji. Można w nich śledzić proces kształtowania się osobowości twórczej i obszaru zainteresowań; można je czytać jako proces formowania się poetyckiego światopoglądu i miejsca w nim sfery sakralnej, jako dialog z tradycją i różnymi dziedzinami sztuki, czy jeszcze na inne sposoby. Tropem, jakiemu warto się przyjrzeć, jest autobiograficzne podłoże utworów, a ściślej – podkreślane przez autora zakorzenienie w miejscu, w którym przyszło mu spędzić ważny rozdział życia; z tropem tym wiążą się różne kierunki refleksji.

Tadeusz Chabrowski urodził się w Złotym Potoku, uczył się w LO im. H. Sienkiewicza w Częstochowie; po studiach i w wyniku różnych kolei losu zamieszkał w roku 1961 w USA.

*Po mieście, w którym od kilku lat nie mieszkam  
chodzą moje trzewiki te same, które kupił mi ojciec,  
gdym rozpoczął gimnazjum Henryka Sienkiewicza.  
(...)*

*Paradują po Alejach N.M.P. naśladować moje kroki,  
kołyszą się niepewnie na obłożonych krawężnikach  
jakby wypity kufel piwa z browaru w Błachowni.  
Nie dotarło do nich, że od pół wieku mieszkam w Ameryce.*

Wersy te pochodzą z wiersza *Trzewiki*, który otwiera wydany przed kilku laty tomik *Dusza w klatce* (Nowy Jork 2006), a dokładniej – jego pierwszą część (całość dzieli się na dwie części). Utwór inicjalny na ogół traktuje się jako zapowiedź refleksji dominującej w całym zbiorze, a także sposobu traktowania literackiego tworzywa. Wiersz *Trzewiki* prezentuje rodzaj wyobraźni autora, umiejętność konstruowania pejzażu lirycznego, a zarazem sfery ducho-

wej w oparciu o drobne na pozór wydarzenia czy rekwizyty, a także poczucie humoru umożliwiające dystans wobec wyrażanych przeżyć. Pojawiają się tu „topograficzne” szczegóły wiążące wiersz z Częstochową: nazwa szkoły, do której uczęszczał autor, nazwa głównej ulicy (dalej także nazwa miasta) i pobliskiej miejscowości. Wiersz ten nie jest jednak tylko zwykłym, nostalgicznym powrotem w rejony znane z wczesnej młodości, co pozornie sugerować by mogła zaznaczona perspektywa czasowa. A przecież to ona stanowi główne spoiwo wyrażanych tu treści, ponieważ to właśnie dzięki deklaracji „od pół wieku mieszkam w Ameryce” uobecniają się wyraziste przeciwstawienia „tu” i „tam”, „teraz” i „kiedyś”. Wyznaczają one duchową przestrzeń, w której porusza się podmiot wiersza. Dzieje się tak za sprawą owych rzeczywistych i metaforycznych trzewików: butów oznaczających ongiś wejście w wiek gimnazjalny, przywołanych z pamięci po pół wieku, oraz wędrujących po mieście trzewików, zniszczonych z biegiem czasu, co rejestruje drobiazgowy opis, ale obdarzony własnym bytem. I ten właśnie byt jest rzeczywisty, obecny w świecie realnym, choć został przedstawiony w sposób żartobliwy.

Problematyka duchowej przestrzeni poszerza się w kolejnych wierszach tomiku w miarę, jak przybywa opisywanych przeżyć, myśli, rozważań, które jednak, dzięki humorowi, nie przekształcają się w traktaty filozoficzne. Wiele utworów stanowi ważne ogniwa w definiowaniu tego, czym jest dusza, główny „bohater” zbioru. Leszek Żuliński, autor *Posłowia* w przywołanym zbiorze, zatytułowanego *Animologia Stosowana*, (s. 59-62), napisał o tomiku, iż „ugina się pod ciężarem sensów jak mędrzec pod ciężarem przeżytych lat”. Koncentrując się na pojęciu duszy i analizując poetyckie realizacje tego motywu w omawianej liryce, podnosząc jej walory językowe i intelektualne, autor stwierdza: „Gdyby istniała nauka o duszy, taka animologia stosowana, to Chabrowski byłby profesorem w tej dziedzinie; tego możemy być pewni”.

W ubiegłym roku poeta opublikował zbiór *Mni-si czyli nierymowane strofy o cnotach* (Lublin 2008), który również dokumentuje związki autora z rodzinną ziemią. Tak jak sugeruje tytuł, na ów tom składają się przede wszystkim poetyckie konterfekty mnichów, postaci, które zadomowiły się w polskiej literaturze głównie za sprawą Ignacego Krasickiego. Na te oczywiste koneksje nie sposób nie zwrócić uwagi, ale też nietrudno dostrzec, że Chabrowski znalazł swój własny sposób na przedstawianie świata za klaszorną furta, zwłaszcza, że świat ów dobrze poznał, przeżywając w klasztorze przez 16 lat. Do tego rozdziału życia powraca w wierszu *Ojciec Wacław* (imię przyjęte w zakonie):



*Komu chciałoby się jeszcze pamiętać moje imię,  
które 47 lat temu wypisałem z gimnazjum H. Sienkiewicza,  
żeby zapisać się do nowicjatu ojców paulinów  
w Leśniowie. (s. 25)*

Satyryczny sposób charakteryzowania zakonników uwidacznia się już w pierwszym wierszu - *Mnisi*; posłużenie się przez poetę pierwszą osobą liczby mnogiej powoduje, że takie cechy jak lenistwo, obżarstwo, obojętność na sprawy powszedniego życia wydają się spotęgowane, zwielokrotnione:

*Nigdy nie chciało się nam rąk brudzić zwykłą pracą,  
rozłupywaniem kamieni, ścinaniem sosen w lesie;  
(...)*

*Przy suto zastawionych stołach z duszonym węgorem,  
kurczakami i kiszoną kapustą czasami brakowało  
nam odwagi,  
żeby praktykować wstrzemięźliwość (...)* (s. 5)

Autor nie wchodzi jednak w rolę moralisty oceniającego i krytykującego ludzkie przywary; jest wnikliwym obserwatorem życia i ludzi, obejmuje ich poczynania spojrzeniem pełnym wyrozumiałości. Bracia zakonni i ojcowie sportretowani w wierszach, obdarzeni imionami (Wit, Idzi, Honorat, Tymoteusz, Arseniusz) i indywidualnymi cechami, to najczęściej zwykli śmiertelnicy, których wiara jest naiwna a natura ułonna. Rejestrowanie nagannych zachowań, dogmatycznego sposobu myślenia, ślepego posłuszeństwa regułom równowazy w wierszach poczucie humoru i żartobliwy ton poetyckiej wypowiedzi. Autor operuje obrazowymi porównaniami i metaforami (*Chcieli wyrzucić go z klasztoru jak ronderek na śmietnik ...*, s. 11; *Czy miłość własna i sumienie to ta sama pajęczyna, / która snuje się w naszym umyśle od świtu / do wieczora?*, s. 7), posługuje się wyrazistym konkretem, dobitnie podkreślającym przesłanie wierszy (*Co jeść, żeby się zbawić?*, s. 10). Język wypowiedzi jest precyzyjny, ale też iskrzy się od dowcipu zarówno tam, gdzie mowa jest o zwykłych, powszednich sprawach, jak i tam, gdzie ujawnia się filozoficzne zaplecze tej poezji.

Zbiór *Mnisi* to swego rodzaju poetycki traktat na temat boskości i wiary, ludzkich ograniczeń, sprzeczności pomiędzy tym, co materialistyczne i metafizyczne. Wypowiada się tu człowiek świadomy zło-

żoności ludzkiej natury, rozpiętej pomiędzy pragnieniem tego, co ziemskie, a dążeniem do doskonałości. Świadomy także i tego, że istoty boskiej nie można ogarnąć ani pojąć, ale można wyrazić swój stosunek do Boga poprzez wszystkie nasze poczynania:

*O Bogu wszystko wiedzą moje zmysły.  
Mogę Go palcem dotknąć w chłodnym, górskim  
strumieniu, łowić jak owada w powietrzu,  
dotykać palnikiem, kiedy przylutowuję skobel do furtki  
w ogrodzie lub kiedy utai się w pozłacanej katedrze. (s. 34)*

Poezja Tadeusza Chabrowskiego rodzi się tam, gdzie nie ma łatwych rozwiązań ani gotowych odpowiedzi, tam, gdzie człowiek skazany jest na wątpliwości. Ale jej źródłem jest także piękno świata, wolne od jakichkolwiek dogmatów:

*Szkoda, że jaskółki już odfrunęły,  
po ulewie  
niebo oddychało przezroczywym lazurem,  
dachy lśniły srebrem jak kościelne naczyina.  
(Jesień, z tomu Dusza w klatce, s. 53)*

Tadeusz Gierymski

\* \* \*

kamieniem waży serce  
jeśli bije dla bicia  
wiotczeją twoje palce  
jeśli nie dotykają  
płowięją włosy  
jeśli nie gładzi ich nit

smutne są twoje oczy  
kiedy nie widzą  
i kiedy są zamknięte  
odwrócone do wewnątrz  
wpatrzone w swoją  
herakliteską rzekę  
co płynie ciemnym nurtem  
od snu do snu

## Konkurs rozstrzygnięty

Rozstrzygnięty został konkurs poetycki ph. „Jesienne oswajanie słów”, ogłoszony przez Filie nr 1 i 9 Biblioteki Publicznej im. dra. Wł. Biegańskiego i czasopismo „Aleje 3”, a przeznaczony dla uczniów szkół ponadpodstawowych.

Jury w składzie:

Agnieszka Batorek, Ilona Kowalska,  
Piotr Nita, Marzena Pieńkowska,  
Marian P. Rawinis, Anna Woźnicka  
przyznało następujące nagrody i wyróżnienia:

### ***I MIEJSCE***

**Mateusz Trzmiel**

godło „Pan Kracy”  
(VII LO im.M.Kopernika)

### ***II MIEJSCE***

**Piotr Paruzel**

godło „Liść Klonu”  
(VII LO im.M.Kopernika)

### ***III MIEJSCE***

**Marta Dziedzina**

godło „Sonne”  
(IX LO im.C.K.Norwida)

### ***Wyróżnienia:***

**Kinga Opolczyńska**

godło „Montagna”  
(VII LO im.M.Kopernika)

**Marta Kocela**

Godło „Marta K.”  
(IX LO im.C.K.Norwida)

**Katarzyna Sosnecka**

godło „Kate”  
(VIII LO Samorządowe)

Laureatom gratulujemy.

Wszystkim uczestnikom składamy podziękowania za udział w konkursie i życzymy powodzenia w jego kolejnych edycjach.

Prezentujemy niektóre z nagrodzonych i wyróżnionych prac konkursowych.

### **Kinga Opolczyńska**

\* \* \*

niedeschczo niechłodno bezwietrznie  
z samotnością przy śniadaniu  
z ciszą przy kominku  
w moim domu

niesmutno nieponuro bezpiecznie  
z marzeniami w szufladzie  
z myślami w kieszeni  
w moim świecie

pytając Sokratesa o drogę  
szukam człowieka  
kończąc bezgłośną modlitwę  
gubiąc resztki snów  
w harmonii domku z kart

### **Marta Dziedzina**

\* \* \*

nic takiego się nie dzieje  
trochę mi zimno i smutno  
jak psu

co mu na głowę z rynny woda leci  
i nie ma jak odejść stamtąd  
bo za szyje do słupa przywiązany  
może powinnaś iść do lekarza  
może powinnam  
pójść i rozpląkać mu się w kitel  
panie doktorze  
jest mi tak strasznie zimno  
taki ziąb wkrada mi się w duszę  
serce  
serce mi zamarza  
może  
może przepisze mi pan  
wąski parapet na szóstym piętrze  
klatkę z lwem albo ostre narzędzie  
pan doktor patrzy spod okularów  
jak ojciec  
wrozumiale  
dobrze dziecino mów  
i na wzmocnienie gruby koc

**Piotr Paruzel**

Twórcy

ubrani w białe marynarki bezpieczeństwa  
siedzimy w apartamentach bez klamek  
osamotnieni choć wśród przyjaciół  
których tylko nasze oczy widzą

stworzeni przez Boga wolnymi  
poddajemy się rozkazom okrutnego świata  
grzeszymy ogromem wyobraźni naszej  
skazanej na pogardę i zniewagę, jak my

zawsze zajęci choć nigdy zabiegani  
pełni szczęścia wewnątrz siebie  
jesteśmy lepsi bo widzimy prawdę  
kraty chronią nas przed wami

nigdy nie było odwrotnie

**Katarzyna Sosnecka**

Filozofia

I mędrców i uczonych od dziejów zarania  
Dręczyły uporczywie przeróżne pytania  
O istnienia istotę i człeka niedole  
O początek i koniec, i o Bożą rolę  
Co mitem, a co prawdą, co godne uwagi?  
Które z nich śmiechu warte, które zaś powagi?  
Zawitych tych prawideł pojąć nie zdołali,  
A głębią swych rozmyślań –  
niewiedzę zgłębiali.

**Mateusz Trzmiel**

Zdecydowanym ruchem ręki  
odwiesiłem na wieszak ulubione palto.

Wysłałem je do świata naftaliny  
i skórek pomarańczy.

Tylko w poniedziałki czasami  
zakładam je  
na chwilową egzaltację.

We wtorki uwiera mnie w kroku  
choć to nielogiczne.

Środy zmuszają mnie,  
żebym uchylił drzwi jego szafy.

W każdy czwartek  
zaciagam się naftaliną.

Piątkami zazwyczaj zerkam na nie  
zalatnie.

W sobotnie popołudnia  
zawsze urywam mu guzik.

Niedziela jak niedziela.

Nie lubię niedziel.  
Nie lubię palta.

Zdecydowanym ruchem ręki  
Odwiesiłem na wieszak ulubioną  
miłość.

**Marta Kocela**

Jesiennie

Jesiennie umieram  
Z liśćmi w zapomnienia muzyce  
Straconych tango dogasa  
Tchnieniem wielobarwnym  
Obcą światu mnie odda  
Słońcem wypalony tatuaż  
In saecula saeculorum  
Idę wstecz  
Do początku końca

## Mozaika magii i siły

Nie sposób w tekstach antologii „Magia słów, siła słów...” (zarówno poetyckich, prozatorskich, jak i dziennikarskich) wyszukać wspólnego elementu, rysu który połączyłby je pod jakimś wspólnym szyldem. Mozaikowość antologii (wydanej w 2009) objawia się w różnorodności rejestrów, w jakich przemawia siedemnastka młodych autorów, w wachlarzu poruszanych tematów oraz w bogactwie ich leksykalnych manier – daje to ciekawy, eklektyczny efekt. Ten wielość dowodzi swobodnej i niemal naturalnej drogi powstania tej publikacji, spontanicznego sklejenia jej składowych – dziecięcych wierszy, rymowanek, dojrzewających wypowiedzi poetyckich, odważnych reportaży społecznych, socjologicznych obserwacji. Ten bardzo pozytywny symptom świadczy o wycofaniu się inicjatorce - Haliny Piwowskiej z przestrzeni twórczej podopiecznych i zostawieniu im ich własnego independent – chwali się nieinwazyjne działania na otwartym umyśle.

Odwiedzanie typowych stajek literackiej podróży, obowiązkowych niemal dla większości twórców, czego nie ustrzegł się także i zebrani w tej antologii, nie jest grzeszkiem dużym. Zwłaszcza, że przeciwwagą jest świeża językowa swada reprezentowana (poza pojedynczymi wyjątkami) na przyzwyczajonym poziomie. Mocnymi stronami zbioru są przemyślane i co najważniejsze przejrzyste artykuły, prozy jeszcze nie w pełni silne, ale już siłą zapowiadające i ciekawe wypowiedzi poetyckie.

Wydanie antologii odbieram jako postulat zachęcający do przekuwania swoich myśli na słowa oraz dojrzenia wraz ze swym literackim warsztatem. Bo właśnie w twórczości literackiej najbardziej ujawnia się wystarczający lub nie dość wysoki poziom dojrzałości, odsłania się w niej swoje widzenie świata i głębokość owego widzenia, sprawdza się też zdolność do tworzenia syntez sensów. Dlatego też, jako panaceum na lepsze pisanie, zaleca się młodym twórcom przede wszystkim cierpliwość, a w drugiej kolejności zadbanie o wielość wartościowych, życiowych doświadczeń.

Książka ta ma doniosłe znaczenie dla młodych twórców, którzy zapewne niejednokrotnie pierwszy raz zobaczyli swoje nazwiska w druku. Publikacja ta promuje również samą instytucję, która wydała i wspomożła druk finansowo czyli częstochowski Młodzieżowy Dom Kultury oraz pracownię literacką Haliny Piwowskiej działającą właśnie w MDK-u (tom dostępny jest siedzibie wydawcy). Nakład kilkuset egzemplarzy zapewne zaspokoii zapotrzebowanie fanów poezji oraz samej instytucji.

## Metafora od wiosny

Podczas lektury kolejnego (czwartego już) tomu poetów z Metafory rzuciło mi się w oczy zagadnienie, którego nie poruszałem jeszcze na łamach Alej 3 – a mianowicie warta wyeksponowania rola tytułowania wierszy. Najłatwiej zaobserwować ich budowę za pośrednictwem spisu treści. Lektura spisu utworów zamieszczonych w tomiku „Od wiosny do wiosny” emanuje spokojem i wyciszeniem, a nawet jednostajnością – jeśli mam być szczery. W formie panuje w dużej mierze uniformizm – tytuły krótkie, schludne, proste, bez egzotyki.

Treść faktyczna potwierdza nastrój sugerowany tytułami – sielska tematyka, silna obecność przyrody, chwile zadumy, ton haiku niemal, wyciszenie i sentymentalizm. W połączeniu z lekturą wierszy tytuły nie zyskują blasku – żadna przewrotność nie wkrada się tu znienacka, nie ma co liczyć na wolty, czy suspens. W niemal każdym wierszu, u każdego spośród trzynastu autorów zachowana została niemal wojskowa dyscyplina kompatybilności tytułu z treścią, żaden wiersz nie przelamuje tego porządku, ani żaden poeta. Co niektóre wiersze dotykają wyłącznie przestrzeni refleksyjnej i rezygnując z obrazowania uciekają troszkę tej zasadzie, ale wcale jej nie łamią, stosując rozwiązanie powtórzenia tytułu w pierwszym lub ostatnim wersie. Żaden poeta nie pokusił się też o zamieszczenie klucza do odczytu wiersza właśnie w tytule. Podsumowując, zrezygnowali oni zgodnie z wszystkich funkcji tytułu prócz jego roli identyfikacyjnej (odróżniającej dany utwór od pozostałych). Gdyby metaforystom towarzyszyły ambicje spisania swojego artystycznego programu – mógłby to być jego nieśmiały początek; bo ta cicha umowa jest odczytywalna.

Tomik „Od wiosny do wiosny” niezbitnie dokumentuje dalszą, postępującą integrację grona twórców z Metafory i ich zamykanie się na wpływy z zewnątrz. Kto czytał poprzednie publikacje, wie czego się spodziewać – czwarta książka przemawia w tym samym duchu.

*Piotr Nita*

## Moja „Rewolucja Pazdiernikowa”

Janusz Mielczarek

We wrześniu 1970 r. po raz drugi - wcześniej na początku lat 60. - zacząłem pracę w redakcji „Gazety Częstochowskiej”. Była ona wówczas tygodnikiem wydawanym w ramach koncernu prasowego Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa” w Katowicach. Poza pisaniem, do moich obowiązków w początkowym okresie pracy, a spędziłem tam łącznie ponad pięć lat, należało techniczne opracowanie numeru oraz nadzór w drukarni aż do jego wydania. Wszystkimi, którzy dzisiaj, w realiach ery komputerów, są w stanie nawet w domu wydawać pismka i drukować książki, może się to wydawać skomplikowane. Dlatego sądzę, że warto poświęcić drukarskiemu rzemiołstwu i mistrzom sztuki drukarskiej zdań kilka. Byłem całkiem zielony w tym technicznym fachu i świadom figli, jakimi drukarze raczą nowicjuszy. Starałem się jak najwięcej nauczyć od starszego kolegi, Wojtka Tobolewskiego, przy którego boku „terminowałem” przy kilku numerach w drukarni Częstochowskich Zakładów Graficznych, gdzie drukowano tygodnik. Szło z oporami. Schody zaczynały się na etapie przygotowywania makiety każdej ze stron, a było ich zwykle osiem. Dochodziły jeszcze stronicie mutacji: Kłobuck, Lubliniec i Myszków. Makietka musiała być dość precyzyjna, uwzględnić ilość linijek i znaków w poszczególnych artykułach, wielkość czcionki, jej rodzaj, miejsce na tytuł, fotografie itp. Jakikolwiek „przeliczenie się”, powodowało konieczność powtórnego składu, dodatkowe koszty i inne komplikacje. Materiały z redakcji najpierw trafiały na linotypy. Pracujący na nich drukarze posługując się klawiaturą zbliżoną do maszyny do pisania odlewali z roztopionej kompozycji cynku i ołowiu wiersz po wierszu (czyli kolejne rzadki liter) w sposób, w jaki nakazał im to zrobić redaktor techniczny pisma. Potem była korekta i harmonijki metalowych pasków z odlanymi z jednej strony literami przechodziły w ręce me-trampazy (łamaczy), którzy według makiety układali to w stronicie, dodając składane ręcznie tytuły, znaki graficzne, interlinie, miejsca pod klisze fotograficzne. Każda z tak przygotowanych stronic podlegała ponownej korekcie oraz w formie odbitej na papierze przekazywana była cenzorowi urzędującemu na ul. Kopernika. W czasie niedzielnego, popołudniowego dyżuru w redakcji dopisywane były informacje, na które wcześniej blokowano miejsce i które już w redakcji musiała zaakceptować pani cenzor. Przygotowanie do wydania „Gazety” zaczynało się o piątej w poniedziałek, w drukarni. Gotowe i sprawdzone stronicie były wytłaczane (kalandrowane) na prasie w specjalnej, niepalnej tekturze fibrowej, które następnie wkładano do pieca odlewniczego, gdzie według nich formowano gotowe stronicie w formie półokrągłych płyt. Na odlew, w miej-

sca przeznaczone na fotografie, przyklejane były przy pomocy dwustronnego plastra (!) klisze rastrowe wcześniej przygotowane przez drukarnią chemografię. Kompletnie już płyty bardzo precyzyjnie układał i mocował do wałców maszyny rotacyjnej mistrz Jan Pawełekiewicz (na zdjęciu) i po próbach z papierem, kilkunastometrowa maszyna rotacyjna, zakupiona jeszcze przez przedwojennego właściciela drukarni pana Nagłowskiego pół wieku temu, ruszała na krótko. Wówczas mistrz Pawełekiewicz - świetny fachowiec i życzliwy człowiek - ponownie ocenił sposób drukowania a dyżurujący redaktor techniczny decydował o tym, czy może podpisać numer do druku. Działo się to zwykle ok. godz. siódmej. Warto wiedzieć, że „Gazeta Częstochowska” miała wówczas ok. 50 tys. nakładu, a w porывach nawet powyżej 70 tys. i drukowano ją zwykle do godzin przedpołudniowych. Po ok. 20-30 tys. egz. trzeba było wymienić klisze, a przy większych nakładach także cały komplet płyt.

Mój debiutancki egzemplarz „Gazety Częstochowskiej” podpisałem do druku na początku listopada 1970 r. Nie bardzo mogłem uwierzyć, że przeszło mi to bezboleśnie. Pierwsze 150 egz. tygodnika zabierał - poza kolportażem - prosto z maszyny, człowiek prowadzący w tym samym domu co drukarnia sklep z prasą. Ja wciąż szukałem drukarskiego „chochlika”, w zakamarkach stronic wewnętrznych a on był na samej górze stronic pierwszej i do tego w tytule! Brzmiał: „53 rocznica Rewolucji Pazdiernikowej”. Zbladłem, zatrzymałem druk. Można było szukać winnych dowcipu o politycznym zabarwieniu, bo na odbicie korektorskiej, którą sygnowałem, tytuł brzmiał prawidłowo. Po poprawkach, wytłoczeniu i odłaniu stronic, zamontowaniu ich ponownie na maszynie, druk pazdiernikowej „Gazety Częstochowskiej” rozpoczęło od nowa.

Znam osoby, które kupioną tego dnia w „Renomie” (tak się nazywał ten sklep) „Gazetę Częstochowską”, z błędem w tytule traktują kolekcjonersko. Ja poprzez kontakty z drukarzami wiele dowiedziałem się o sztuce drukarskiej oraz poznałem osoby zasługujące na miano Mistrzów. Dotknąłem materii niedostępnej już dzisiaj. Pewnie dlatego z czcią podchodzę do druków nie tak doskonałych, jak dzisiejsze, na pozóółkich papierach, które niosą w sobie prace ludzi oddanych tamtej sztuce.



## Jedno, dwa, trzy, cztery i więcej kół

Zbislaw Janikowski

Jednokołowy pojazd można zobaczyć właściwie tylko w cyrku podczas popisów rowerowych akrobacji. Niby tak, jednak zastanówmy się chwilę...

Taczka. Ileż odmian taczek widziałem, iloma jeździłem, tylko pytanie, czy taczka się jeździ? W zasadzie nie, ale jako dzieci woziliśmy się taczkami gdy tylko nadarzała się ku temu okazja. Nikt nie zwracał uwagi na to, czy taczka była czysta czy brudna, nawet najgorszym z możliwych brudów, brudem budowlanym lub węglowym pyłem. Współdziałanie wiozącego i wiozącego było wyjątkowo harmonijne, „najpierw ja ciebie a potem ty mnie”, no chyba że ktoś nas pogonił i zepsuł wspaniałą zabawę. A i taczki tamtych czasów były inne, skonstruowane z solidnych grubych desek połączonych w jedną całość solidnymi żelaznymi okuciami, ciężkie, źle sterowne i do tego jeszcze drewniane, obciążone żelazną obręczą owo jedno koło - gdzie im do dzisiejszych, metalowych, łatwo sterownych, tak jakby w układzie kierowniczym zainstalowane było wspomaganie. W naszej polskiej najnowszej historii był czas, gdy taczki urosły do miary symbolu, przyrządu do wymierzania sprawiedliwości: niepopularnym dyrektorów, sekretarzy i inne osobistości wywożono z miejsca pracy za bramę właśnie taczkami, trzeba przyznać, że w luksusowych warunkach, czystych, wymoszczonych gazetami, choć były wyjątki (w pegeerach, tam sadzano delikwenta na kupie gnoju).

I o jednokółkach tyle i aż tyle.

Dwukołowe w zasadzie już omawialiśmy, chociaż... Chociaż niejedno należy jeszcze przypomnieć. Wspominałem rower jako wspaniałą zabawkę i przyrząd ogólnorozwojowy mojego dzieciństwa, środek komunikacji i turystyki, ale rower jako wehikuł dostawczy? Takie funkcje też spełniał. Celowały w tym kobiety z okolicznych wsi (w mojej „parafii” z Kiedrzyń, Białej, Szarłejki), które na rowerach dowoziły do miasta świeże poranne mleko - to wszystko jeszcze przed epoką powszechnego upośleczenia (upaństwowienia), gdy to w sklepach „Jedności” i MHD pojawiło się butelkowane mleko „państwowe”. Jeśli o tym mleku można - było w butelkach litrowych i tylko kolor kapsla mówił, że pod srebrnym jest „chude” a pod złotym „tłuste”, dla kefiru zarezerwowany był kapsel zielony, a dla maślanki niebieski; inne produkty znakowane były różnokolorowy-

mi paskami, kto dziś pamięta jakie to były kombinacje i co kryły. Wróćmy jednak do okutanej w chusty kobiety (niektórzy mówili „baby”), która na swym rowerze wiozła dwie potężne, wypełnione mlekiem blaszane bańki a ponadto kilka innych mniejszych i jeszcze w bańce emaliowanej śmietaną, a w tobołku umieszczonym jakimś ekwilibrystycznym sposobem na własnych plecach, wiklinowy kosz z jajami, serami i czymś tam jeszcze. Oczywiście, rower z tymi skarbami prowadziła, bo na babę brakowało już miejsca, szczęściem do miasta było lekko z górki, ale zawsze kilka kilometrów i ciężko. Odwiedzając kolejnych odbiorców, pozbywała się części ładunku, w ustronnych miejscach przelewała swój biały towar do mniejszych baniek, miała też towar specjalny dla niemowlaków i chorych, i to wszystko na jednym zdezelowanym, zardzewiałym i odrapanym dwukołowcu!

Rowery pełniły jeszcze inne funkcje użytkowe. Na nich uwijali się więcsy i małomiasteczkowi listonosze, którzy niejednokrotnie mieli dziennie do pokonania kilkunasto a nawet kilkudziesięciokilometrowe trasy. Stąd był już tylko jeden krok do wyczynu, i o ile mnie pamięć nie myli, odbywał się nawet kolarski wyścig listonoszy, a z ich szeregów wywodziła się niejedna kolarska sława. W naszym mieście na rowerach hulali dostarczyciele telegramów, mieli roboty w bród, jako że telefon był raczej niedostępny a o radosnych i smutnych wydarzeniach trzeba było jakoś powiadomić rodzinę lub znajomych. Taki doręczyciel wyczuwał swym siódmym zmysłem treść informacji i bezbłędnie wiedział, jak się zachować: przy smutnych, pogrzebowych anonsach dyskretnie zniknął, przy życzeniach imieninowych, a już szczególnie ślubnych, czekał na gratyfikację lub tradycyjny kieliszek. A wyjątkowo otwarty był na wszelkie akty wdzięczne w przypadku radosnej wiadomości o przyznaniu talonu na samochód (tak, „Polmożby” wysyłał do szczęśliwców zawiadomienia telegraficzne), sam doświadczyłem takiej wizyty, gdy z jakiejś spółdzielni dostałem zawiadomienie, że jutro, że mnie, że przyznano wymianę (po pięciu latach użytkowania) akumulatora i że to szczęście odpadnie mnie o dwunastę czterdzieści pięć w znanym punkcie na Kawiej. Nic to - jak mawiał Mały Rycerz, że wiadomość dostarczył mi rozchwiany rowerowy, telegramowy listonosz i że była dwudziesta trzecia trzydzieści trzy i tak wydarzenie „obaliliśmy”. Ponieważ świąt bez przerwy się zmieniał, zmiany dosięgły i poczty, walcząc o dobre imię swych pracowników i eliminując alkoholowe zagrożenia, zamieniła im rowery na motorowery a nawet w niektórych przypadkach na motocykle (rodzime wuefemki). Co pomysły te przyniosły, nie pamiętam, bo telegramy dostarcza-

no dalej w późnych godzinach wieczornych, a i formy gratyfikacji nie uległy zmianom.

Rowery to jednak nie wszystko w rodzinie dwukołowców. Na szczycie hierarchii stały motocykle, popularnie zwane motorami. Najdawniejsze zachowane w pamięci to te z czasów wojny, niemieckie

(w zasadzie trzykołowe) bo najczęściej z koszem czyli przyczepką, na których uwijali się budząc powszechną grozę niemieccy żołnierze. Po wyzwoleniu niemieckie mundury zniknęły, motocykle nie, te wprowadzały się powoli w krajobraz naszych ulic. Do dziś przechowuję w pamięci obraz rosyjskiego żołdaty (musiała to być jakaś szarża), który tak jak ja w kilka lat później na swoim rowerze, okrążył Aleje na bardzo hałaśliwym ponemieckim zindapie. Niby nic a jednak, manetka gazu odkręcona do oporu, ręce splecione na pierśiach, okrążyła czapka z niebieskim otokiem (co on oznaczał?) zsunęta na tył głowy, zapalony papieros w ustach. Patrzyłem z podziwem a może i z zazdrością, aż kiedyś zniknął a ludzie zaczęli mówić, że po pijanemu wjechał na stojącą na rogu przy Śląskiej i środka Alei murywana budkę transformatorową. A później widywało się jakże wtedy wspaniałe i ekskluzywne motocykle, ponemieckie dekawki, enesu i zindapy, nasze przedwojenne sokoły a nawet amerykańskie nortony i inne, których nazw i marek już nie pamiętam.

Wreszcie nastąpiła nowa era naszych polskich jednośladow. Drogi „zaluźniały” produkowane w Warszawie wuefemki (Warszawska Fabryka Motocykli) i kieleckie eshaelki (Suchedniowska Huta Ludwików) i wreszcie produkowane w Szczecinie, a dziś kultowe, junaki. Takim pojazdem podróżowałem niejednokrotnie jako pasażer na tylnym miejscu wygodnego siedzenia - kanapy. Mieszkałem w akademiku Łódzkiej Politechniki a kierowcą i właścicielem tej wspaniałej maszyny był kolega z pokoju, później-

szy wojewoda częstochowski – Grzegorz Lipowski. To były wspaniałe studenckie czasy, tym bardziej, że trzeci z mieszkańców naszego pokoju (Janek Mościński) był posiadaczem skutera (a jakże naszej polskiej produkcji), sławnej osy. Drogi tamtych lat różniło od dzisiejszych wszystko: wąskie, pełne zakrę-

tów, gęsto obsadzone drzewami, o różnej nawierzchni, od szutru, przez (szczególnie w Łodzi) kocie łby, bazaltową kostkę i klinier, aż po asfalt - ale za to puste, bez koszmarnego ruchu. Nawet znaki drogowe były inne, właściwie dopiero się europeizowały, np. takie drogowskazy były żółte z czarnymi napisami, w kształcie strzałki wskazującej kierunek. Wszystko to było niczym w porównaniu ze swobodą poruszania się i zazdrośnymi spojrzeciami kolegów i uwielbieniem koleżanek. Grzegorzowi junak mknął z przepięknym, charakterystycznym gangiem silnika znamionującym moc i klasę pojazdu, każdy zamierzony czy przypadkowy postój gromadził tłum ciekawskich, bo i popatrzeć było na co.

Niemal równolegle na nasze drogi wyjechała masa motorowerów, krajowych komarów, ogarów enerderskich simsonków; majętni szczęściarze dosiadali skuterów, włoskich lambretek i francuskich peżotów ale i ruskich wiatek.

Motoryzacja rozkwitła a rowerom i motocyklom wyrastała czterokołowa konkurencja.

Po drodze były jeszcze trójkołowce. Najstarsze i najdziwniejsze, poza prymitywnymi, trójkołowymi rowerkami dla dzieci, to znowu wojenne, dziwaczne samochodziki z kołem umieszczonym z przodu, napędzane marnym, pewnie motocyklowym silnikiem, z ciasną szoferką (tak wtedy nazywano kabinę kierowcy) oraz skrzynią ładunkową. Zapamiętałem, choć nigdy nie wzbudzały mojego większego zainteresowania, takie pokraki.



# SENTYMENTY

Co innego rowerowa ryksza, którą znałem dobrze. Ta w czasie wojny była powszechnie używana jako osobowa, do przewozu ludzi, taksówek przecież nie było, a i dorożki były nieliczne, jako że konie powoływano do służby w wehrmachcie. Były też ryksze towarowe, te zamiast wygodnego siedziska dla podróżujących miały przed rowerzystą napędzającym pojazd siłą własnych nóg, pakę służącą do przewozu towarów. Przewożono wszystko: artykuły spożywcze i przemysłowe, a nawet meble w czasie licznych w tamtych czasach przeprowadzek. Pamiętam, jak pod sklep podjeżdżał rykszarz wioząc przed sobą rozchytaną beczkę kartkowej buraczanej marmolady, lub bloki drożdży (ciekawe do czego wtedy używano ich tak wiele, skoro kupno mąki graniczyło z cudem), lub kosze wypełnione kartkowym chlebem – „populara” – czarnym jak święta ziemia, ale za to cudownie kwaśnym, o niezapomnianym nigdy smaku i zapachu. Dla mnie w domu zawsze mieli chleb biały, dziadek za to wciął ową popularkę i ukradkiem podsuwał mi kawałki z przypieczoną skórką, z którą nie radziły sobie jego marne wojenne zęby. Ryksze towarowe przetrwały jeszcze długo po wojnie, osobowych szybko zakazano w państwie sprawiedliwości społecznej – taka forma wyzysku człowieka przez człowieka była przecież nie do zaakceptowania.

W pewnym momencie na naszą krajową scenę motoryzacyjną wrócił motocykl junak, przerobiony na pojazd dostawczy. Zamiast tylnego koła znalazła się wsparta na dwóch kołach skrzynia ładunkowa służąca do przewozu towarów. Rasowy motocykl sponiewierano i tylko dudniący gang silnika bronił jego honoru.

Nie wiem, do jakiej grupy zaliczyć walec drogowy - z tyłu dwa potężne, szerokie i wysokie koła ale przed? Nie koło, nie beczka a pojazd, choć wolno ale porusza się i przy okazji wykonuje pracę niezbędną przy budowie dróg. Ilekroć mówię lub słyszę o walcu, przypomina mi się stara anegdota o dwóch dżdżownicach, które pełżyły po drodze zajęte ciekawą rozmową. W pewnym momencie jedna się obejrzała i z przerażeniem krzyknęła: Uważaj, walec jedzie! Nic nie słyszę – odparła ta druga, na to pierwsza: No, walec jedzieeeeeeeeeeeeeee...

Wreszcie samochody, czyli w przeważającej większości czterokołowe. O osobowych już mówiliśmy, ale pozostała cała wielka grupa innych, czasami bardzo dziwnych, za to bardzo użytecznych.

W mieście istniało MPO (Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania) a więc wywozem śmieci zajmowały się należące do tego przedsiębiorstwa śmieciarki, można powiedzieć z grubsza podobne do dzisiejszych. Same śmieci zbierano w metalowych, okrągłych pojemnikach o dużo mniejszej pojemności niż

te nam współczesne. Wywózce towarzyszył potworny blaszany hałas i rozsypane wszędzie, nie mieszające się w ciasnych pojemnikach odpadki, a i zapach rozkładających się resztek nie należał do najmiłszych.

W rodzinie pojazdów dbających o czystość miasta szczególnie szacunek wzbudzały polewaczki. Jechała taka beka środkiem alei lub inną ulicą i polewała, a właściwie zmywała czy też spłukiwała kurz, brud i śmieci. Zainstalowane z przodu dysze wyrzucały silny strumień wody, kierowca mógł nim sterować, ale chyba nie zawsze mu się chciało. A gdy przytrafiło się, że był frustratem bo o dowcip i poczucie humoru trudno go podejrzewać, to wykorzystywał powierzony mu sprzęt do „doskonałej” zabawy. Ileż radości musiała dostarczać mu umiejętnie puszczona wodna sprężyna na nogi przechodniów, szczególnie dziewczyn idących do lub ze szkoły, czy niby przypadkowe oblanie starszych kobiet zajętych uliczną pogawędką, postraszenie matki pchającej dziecinny wózek, czy wreszcie „przypadkowe” uruchomienie zraszaczy przypominających gigantyczny prysznic a skierowanych na przejeżdżającego rowerzystę lub konną większą furmankę. Z czasem polewaczki uzbrojono dodatkowo w wirujące okrągłe szcztoki do czyszczenia ulic; wszystko to jeździło, warczało, moczyło, kurzyło i co tam jeszcze w trosce o wygląd miasta, które nawet nie było jeszcze stolicą województwa.

Jak wspaniałe i imponujące były te pojazdy świadczyć może fakt, że niejeden z małych chłopców pytany, kim chciałby zostać gdy dorośnie, bez wahania odpowiadał „będe jeździł śmieciara”. Syn mojego przyjaciela, inżyniera piastującego odpowiedzialne stanowisko, na zdane w przedszkolu pytanie – kim jest tata – ani się zająknął i dumnie wypalił: tata jeździ wielką śmieciarką.

Podobnie było ze strażakami. Wielkie czerwone strażackie wozy działały na wyobraźnię. Nawet w książeczkach dla dzieci roilo się od dzielnich strażaków a w ich role wcielały się takie disneyowskie gwiazdy jak Kaczor Donald, Pies Pluto i inni. Nie ma się zatem co dziwić, że strażakiem chciał zostać co drugi chłopiec. W mojej pamięci najdawniejsze samochody strażackie pochodzą z czasu Druhej Wojny Światowej, z okresu warszawskiego Powstania. Ulica Dąbrowskiego, zalana popołudniowym letnim słońcem, na wysokości kościoła Św. Jakuba rząd czerwonych strażackich samochodów, takie jak na rysunkach Disneya: kanciaste wysunięte maski, koła na sprychach, mosiężne niemałych rozmiarów dzwonki, niskie burty, odkryte ni to kabiny ni gondole a w środku szerokie siedzenia, na niektórych pojazdach beczki na wodę lub składane drabiny -uciekiniery a może zarekwirowane przez Niemców



w płonącej Warszawie. Skąd wiem, że warszawskie? Jak na fotografii widzę w pamięci wielkie, wymalowane na burtach warszawskie herbowe syreny z żółtymi rybimi ogonami, zbrojne tarczą i mieczem. Pamiętam też stawiane dorosłym pytanie: dlaczego wyjechali z płonącej Warszawy? Odpowiedzi nigdy nie usłyszałem, podejrzewam, że nie umieliby zaspokoić mojej dziecięcej wyobraźni a może okrutna rzeczywistość i ich przerosła.

Późniejsze wozy strażackie, widziane na ulicach naszego miasta, to zbieranina z całego świata, przeróżne marki i typy, o kształtach nie mówiąc, aż wreszcie honor polski uratował strażacki wóz rodem ze Starachowic, zbudowany na bazie ciężarówki tam produkowanej, a jaki był, każdy pamięta.

Nasza częstochowska straż pożarna miała swoją siedzibę, co jest więcej niż oczywiste, na ulicy Strażackiej. Budynek z czerwonej cegły prezentuje się nadal wcale okazale, w obszernym podwórzu rząd garaży, nawet jakieś czerwone strażackie samochody. Nowe chodniki na dotychczas zaniedbanej ulicy, jak przystało na ulicę Strażacką, czerwone. Tu właśnie mieściła się sala widowiskowa, prawie teatr marzeń, w którym byłem na pierwszym w moim życiu przedstawieniu, bo spektaklem trudno było nazwać to trochę jarmarczne widowisko. Była chyba ostatnia wojenna zima a może już powojenna i Pела zabrała mnie na kukielkowe przedstawienie. Oczywiście jasełka, oczywiście król Herod, oczywiście diabeł, oczywiście śmierć i oczywiście ów sławny tekst – ...ej Herodzie za twe zbytki/ chodź do piekła, boś ty brzydki... Potem, a może było to innym razem, „Szewczyk Dratewka” i znowu emocje - szewczyk, wypchany baran, zielony smok (czemu zielony?), który w finale pęka z wielkim hukiem. Więcej wizyt w tym teatrum nie pamiętam. Trzeba tu zaznaczyć, że na wszystkie takie imprezy chodziło się na własnych nogach, no chyba, że od wielkiego dzwonu jechało się doróżką

Gamę specjalistycznych pojazdów uzupełniały karretki pogotowia ratunkowego, nasze warszawy a później fiaty. Wreszcie na ulice wyjechały i zmotoryzowane karawany, to dopiero była atrakcja, a i zmiana obyczajowa. Piękne konie w pięknych uprzężach zostały zastąpione przez silniki, ale łamanie tradycji nie przychodziło łatwo. Pieszy kondukt z konnym karawanem powinien paradować ulicami przez pół miasta i paradował, a samochód - ten też często zmuszono do powolnego podążania za pieszymi żałobnikami (jak u Zembatego: „...ubogim krewnym trumna wrzyna się w ramiona...”)

Częstym widokiem na dawnych ulicach były traktory, hulaśliwe zawalidrogci ciągnące przyczepy a czasami zwykłe chłopskie furmanki. Te najdawniejsze, nasze polskie ursusy z warszawskiego Ursusa, to był szyk i elegancja. Z boku silnika wirowało jakieś koło na przeciwnym boku zmontowana była rura wydechowa, skierowana pionowo w górę, przypominała pytona który połknął przed chwilą prosiaka, gdyż w połowie swej wysokości rura pęczniała i sprawiała wrażenie, że jest czymś nafaszerowana. Traktor, czy stał czy jechał, to pykał a z każdym pyknięciem z rury wydechowej wylatywały w górę obłoczki czarnego dymu. Ponieważ uruchomienie takiego potwora było niemalą sztuką, przeto pykania nie dało się przerwać z byle jakiego powodu i często opłacało się, by pykał sobie całą noc. Ta pionowa rura wydechowa



# SENTYMENTY

i wielki sentyment do tego co nasze, polskie, szybko przydało traktorowi pieszczotliwą ksywkę „warszawy z kominkiem”.

W latach sześćdziesiątych, gdy motoryzacja stała się faktem, na ulicę wyjechały „samy” czyli samochody skonstruowane i wykonane we własnym zakresie, niejednokrotnie zostały zarejestrowane i dopuszczone do ruchu, a ich właściciele uważali, że są lepsi od najlepszych konstruktorów i producentów.

Wreszcie o tych wielokołowych. Zacznijmy od tego, o czym przed chwilą. Traktor, by był pojazdem spełnionym, musiał coś ciągnąć, a tym czymś były najczęściej traktorowe przyczepy. Na przyczepy ładowano co tylko się dało i to w niemałych ilościach, a i pasażerów na takiej przyczepie mieściło się kilkudziesięciu. Było to wysoce pomocne i umożliwiała rozwiązać trudne problemy komunikacyjne, zaś podróż w gromadzie i na świeżym powietrzu była może niezbyt wygodna ale przyjemna.

Przyczepy doczepione do traktora tworzyły czasem całe pociągi, czasami był to tylko jeden, za to mieszkalny wagon. Celowali w tym cyrkowcy, którzy w takich domach na kółkach wędrowali po całej Polsce. Inną grupą wędrowników byli Cyganie, ale o nich innym razem. Wreszcie do tych wędrowców dołączyli przeróżni robotnicy zajmujący się wyrębem lasów, melioracją i innymi pracami realizowanymi w tak zwanym terenie. Miasto nie było wolne od tej przemieszczającej się z miejsca na miejsce na wpół zmotoryzowanej bazy mieszkaniowo-socjalnej. Wszystkim pracom drogowym a i na niejednej budowie towarzyszyły takie pojazdy, były szatniami, jadalniami, podręcznymi warsztatami i wreszcie kantarami biurowymi a nawet siedzibami szefa budowy.

Prawdziwe wielokołowce poruszały się wprawdzie na kółkach ale w sposób zgoła odmienny od innych, bo po szynach. Tramwaj, ten typowo miejski wielokołowiec, zagościł w Częstochowie 1 marca 1959 roku. Zagościł i rozgościł, na wiele lat przejął funkcje głównego miejskiego środka transportu przewożącego ludzi. Co jakiś czas, przy okazji rocznic a co za tym idzie i jubileuszy, podawane są dane statystyczne i to jakże ważne – ilu pasażerów przewieziono, ile razy dotarłyby częstochowskie tramwaje na Księżyc, ile zużyły prądu (a gdyby w nocy jeździły nieoświetlone zużywałyby na pewno mniej), ile ton piasku wysypały na tory w czasie ostrego hamowania, ile...? Ile i czego - znalazłoby się w tych księżycowych statystykach.

Te pierwsze, które jeździły po częstochowskich torach, kremowo-czerwone, dwu lub trzywagonowe składy, wyprodukowane w naszym rodzimym chorzowskim Konstalu, mknęły nowym torowiskiem z Rakowa do Śródmieścia, które kończyły się wte-

dy tuż za obecną Aleją Jana Pawła II, gdzie była pętla i koniec trasy. Dalej nie jechały, bo nie było po co, dalej była tylko stodoła Szwakopa i szpital (Tysiaclecia) w budowie. No i jeszcze tereny naszych studenckich działań bojowych w ramach zajęć na studium Wojskowym Politechniki.

Pierwsze tramwaje obsługiwane były przez wyjątkowo liczną załogę, prócz motorniczego w wagonach na specjalnie wydzielonym miejscu siedział konduktor sprzedający bilety i dziurkujący specjalnymi szypcami bilety miesięczne. Taka dziurka była jak dzisiejszy elektroniczny bilet i świadczyła o... właśnie o czym? Jakież prozaiczne były też tramwajowe drzwi, po prostu szerokie, rozsuwane siłą mięśni pasażerów - a swoją drogą okrutna była ta komuna, tak bezczelnie wykorzystując płacących w końcu za przejazd pasażerów do otwierania drzwi, bo zamykać jak już wysiadł, nikomu się nie chciało.

Wkrótce zaczęto tramwaje modernizować, zrywając ze złymi kapitalistycznymi zwyczajami - na pierwszy ogień poszli konduktorzy, następnie w klatce-kabinie zamknięto motorniczego, potem kolejno rozprawiano się z drzwiami, siedzeniami a nawet wiszącymi uchwytami dla stojących pasażerów, wprowadzono wymyślne sposoby pobierania opłat, bilet kupiony w kiosku należało dziurkować wiszącymi na łańcuszku szypczykami, wreszcie wprowadzono jakieś dziurkujące automaty i tak trwa to po dziś dzień.

Ostateczny wyrok na najstarsze tramwaje wydał likwidując linię numer dwa dochodzącą niemal do bram huty. Modernizując, wprowadzono automatyczne zamykanie drzwi i wtedy stare wozy straciły swą duszę - zniknęły uroczaje winogrona wiszące na stopniach wagonu a składające się z męskiej części młodzieżowych pasażerów. A jak już wymieniono, stare wagony na trumienno-gąsiennicowate składy, jak nie było możliwości podróżowania „na cycku” czyli znajdującym się w ostatnim wagonie haku do podpięcia następnego wozu, gdy zamiast drewnianych ławek wprowadzono niby miękkie siedzenia, znaleźliśmy się w bezdusznej tramwajowej Europie.

Wielokołowa rodzina to jeszcze pociągi a te znalazły dobre kądy mieszkaniac Częstochowy, w końcu stają kolejowa zlokalizowana była i jest w samym centrum miasta. Ale o tym kiedy indziej.

**Zbislav Janikowski**

Irena Jarzyńska

## Choinki, jodelki i świerki w naszym mieście

Zieleńce, trawniki, ulice obsadzone drzewami oraz parki miejskie mają ogromne znaczenie w tworzeniu specyficznego mikroklimatu miasta: oczyszczają powietrze z wielu szkodliwych substancji gazowych, „wylapują” pyły atmosferyczne, wchłaniają dwutlenek węgla i spaliny samochodowe a wytwarzają tlen. Drzewa przez parowanie zwiększają ilość wody w powietrzu a tym samym podnoszą wilgotność powietrza w miastach oraz zapewniają cień w miejscach wypoczynku i dostarczają wrażeń estetycznych.

### Czy jest coś piękniejszego niż wysokie drzewa...

Symbol potęgi drzewa jest wspólny dla wszystkich dawnych kultur jako prastary archetyp, element wspólnej ludzkiej zbiorowej symboliki. Drzewo było uznawane jako przykład cyklu natury, wiecznego odradzania się: drzewo życia, drzewo wiadomości dobra i zła. Jest to obiekt, w symbolice którego zawarta jest moc całego kosmosu. W wielu mitologiach drzewa sadzili bogowie i rozdili się pod nimi lub doznawali „oświecenia”. Drzewa były świadkami i strażnikami życia społecznego dawnych wspólnot. Pod nimi spotykała się starszyzna plemienna, aby podejmować decyzje, sprawować sądy i odprawiać rytuały. W różnych epokach literackich poeci i pisarze wykorzystywali symbol drzewa, jako przykład postawy wobec świata, własnych przeżyć lub wątpliwości życiowych. Człowiek zawsze zwracał uwagę na wysokie, wielkie, stare lub zdeformowane drzewa. Jednak największe wrażenie na przyrodniku robi duże zbiorowisko drzew, np. las, jako przykład harmonijnego współżycia różnych organizmów.

W Częstochowie jest ok. 1400 hektarów terenów zielonych, zajmują one ok. 9% powierzchni miasta, w tym 3,5 % to lasy i zadrzewienia. Najciekawszymi obiektami są parki: jasnogórskie (w granicach administracyjnych klasztoru), podjasnogórskie: im. Stanisława Staszica i 3 Maja; park wypoczynkowy „Lisiniec”, park „Las Aniołowski”; park im. G. Narutowicza (dzielnica Stare Miasto); park Piastów (dzielnica Bór i Ostatni Grosz); park Tysiąclecia (początek Promenady im. Cz. Niemena); park w osiedlu Parkitka; park w dzielnicy Północ; park przy ul. Zbyszka (dzielnica Sabinów-Dźbów); park podworski w dzielnicy Dźbów.

Jesienią i zimą naszą uwagę zwracają drzewa i krzewy zimozielone, których liście w postaci igieł widoczne są przez cały rok. Szczególnie ich piękno uwidacznia się zimą i wczesną wiosną. W polskiej florze rodzimych drzew i krzewów iglastych jest kilka rodzajów: jodła, świerk, modrzew, sosna, jałowiec i cis. W parkach i na skwerach sadzi się wiele przedstawicieli aklimatyzowa-

nych rodzajów i gatunków oraz odmian i form drzew i krzewów iglastych, np. daglezja, choina, tuja, cyprysik i inne.

### Choinka w kulturze i tradycji polskiej

W wielu kulturach drzewo, zwłaszcza iglaste, jest uważane za symbol życia i odradzania się, trwania i płodności. Jako drzewo bożonarodzeniowe pojawiło się w XVI wieku, lecz być może już wcześniej występowało jako „rajskie drzewo dobrego i złego” w misteriach o Adamie i Ewie, wystawianych w wigilię Bożego Narodzenia.

Tradycja choinek narodziła się w Alzacji, gdzie wystawiano drzewka i ubierano je ozdobami z papieru i jabłek (nawiązanie do rajskiego drzewa). Były bardzo popularne w protestanckich Niemczech. Nieco później obyczaj ten przejął Kościół katolicki, rozpowszechniając go w krajach Europy Północnej i Środkowej. W XIX wieku choinka pojawiła się w Europie Południowej i w domach w Anglii i Francji, stając się najbardziej znanym symbolem świąt Bożego Narodzenia. Do tradycji i kultury polskiej choinkę przenieśli protestanci na przełomie XVIII i XIX wieku, w okresie zaborów. Początkowo spotykana była tylko w miastach, później również na wsiach. Częściowo wyparała polską ozdobę zimowych świąt, jaką była *podłaźniczka* oraz całkowicie zastąpiła stary, słowiański zwyczaj dekorowania snopu zboża. Podłaźniczki były to gałązki drzew iglastych lub małe drzewka iglaste zawieszane pod sufitem czubkiem do dołu lub (rzadziej) do góry. Podłaźniczka miała chronić dom i jego mieszkańców od złych mocy i uroków.

Doniosłe znaczenie dla odczytania symboliki choinki mają *pajaki i światy* – dawne ozdoby polskiej izby w czasie świąt Bożego Narodzenia. „Pajak” to przestrzenna konstrukcja podobna do dworskich i kościelnych świeczników wykonanych ze słomy, bibuły, nici, fasoli, wydmuszek jaj. „Światami” nazywano wyplatane ze słomy lub wykonane z opłatków kule, kraszki lub gwiazdy. Choinka jest więc przykładem zwyczaju wyperającego i jednocze-



Okazale świerki, żywotniki na skwerze „Solidarności” w Częstochowie

śnie wchłaniającego wcześniejsze sposoby przyozdabiania pomieszczeń na Boże Narodzenia.

Prace etnografów, etnologów, językoznawców i historyków kultury są zbliżone w opisywaniu symboliki ozdób choinkowych i samego drzewka. Zielone drzewko jest symbolem drzewa życia – symbolem Chrystusa oraz jego narodzenia. Do takiego wniosku upoważnia ludowa tradycja ozdabiania szczytu choinki gwiazdą, symbolizującą Gwiazdę Betlejemską, mającą pomagać w powrotach do domu z dalekich stron. Oświetlenie choinki broniło dostępu złym mocom, a także miało odwrócić nieżyczliwe spojrzenia ludzi. W chrześcijańskiej symbolice religijnej wskazywało na Chrystusa, który miał być światłem dla pogan. Jabłka zawieszane na gałązkach symbolizowały biblijne jabłko, którym kuszeni byli Adam i Ewa. Później zastąpione je małymi rajsłkami jabłuszkami, które miały zapewniać zdrowie i urodę. Orzechy, zawijane w srebrka miały nieść dobrobyt i siłę. Papierowe łańcuchy przypominały o zniewoleniu grzechem, ale np. w czasie wyborów miały wymowę politycznych okowów. W tradycji ludowej łańcuchy symbolizowały więzi rodzinne oraz ochronę domu przed kłopotami. Dzwonki oznaczały dobre nowiny i radosne wydarzenia. Anioły na choince miały opiekować się domem a jemiola zawieszania pod sufitem miała pogodzić skłócone osoby. Do dziś w wigilijne wieczory pod choinką znajdują się prezenty, przyniesione, w zależności od regionu, przez Aniołka, Dzieciątka, Gwiazdora, Dziadka Mroza lub Świętego Mikołaja. Jest to tradycja rzadko spotykana w innych krajach, ponieważ tam prezenty są ofiarowane w Boże Narodzenie.

Wiersze i piosenki o choince można znaleźć głównie w antologii poezji dziecięcej: „Choinka w lesie” Marii Kopnickiej, „Najpiękniejsza choinka” Joanny Kulmowej, „Wesoła choinka” Tadeusza Kubiaka, „Choinka” Juliana Tuwima, „Kto wymyślił choinkę” K.I. Gałczyńskiego lub bajka H. Ch. Andersena pt. „Choinka”.



Rozłożyste jałowce przed altaną w parku im. St. Staszica, w głębi wysokie żywotniki

Julian Tuwim - *Choinka*

Ziemió, ziemiątko,  
Nocą nad łózkim  
Świeczisz i krążysz  
Różowym jabłuszkiem.  
Sny wyogromniały,  
Ziemió, zieminko,  
Wszechświat stał w pokoju  
Świąteczna choinka.  
Ziemió, ziemeczko,  
Dróżki gwiazdziste  
Po gałązkach błyskały  
Mlekiem świeczystem.  
Trzaskały świeczki,  
świerkowe świerszeczki,  
Anioł zaniemówił  
Najpiękniejszym wierszem.

### Ciekawe okazy drzew i krzewów iglastych w Częstochowie

Wzbogaceni w wiedzę etnograficzną, przejdźmy się ulicami naszego miasta w poszukiwaniu pięknych okazów świerków, sosen lub żywotników, jałowców i cisów. Te zielone i zdrowe drzewa symbolizują naturalny cykl życia w przyrodzie. Moim przyrodniczym zdaniem, właśnie te żywe okazy iglaków, powinny być ochraniaane, podziwiane i ozdabiane w okresie Świąt Bożego Narodzenia.

W centrum Częstochowy (plac Biegańskiego, skwer koło Urzędu Stanu Cywilnego, skwer przed Urzędem Miejskim) można znaleźć kilkudziesięcioletnie okazy świerków, daglezjii i młode egzemplarze jodeł (na terenie skweru „Solidarności”). Również w Parkach miejskich: 3 Maja i w Parku im. Stanisław Staszica rosną okazałe świerki.

**Świerk pospolity** (*Picea abies* L.) rośnie głównie w Europie Środkowej i Północnej i jest tutaj najważniejszym gatunkiem drzewiastym z gospodarczego punktu widzenia. Świerki są drzewami zimozielonymi, żywicznymi, osiągającymi w naturze 50 m wysokości. Pień pokrywa łuszcząca się korowina a konary osadzone są okółkowo (piętrowo). Igły rosną skrętoległe na drobnych wzniesieniach – poduszczkach, pędy po opadnięciu igieł są wskutek tego szorstkie. Młode szyszki świerka wyrastają do góry na gałązkach, ale dorosłe są długie (nawet do 15 cm) i opadają w dół. W Polsce świerki rosną na nizinnych Pojezierzach oraz w górzystych reglach i borach świerkowych. Świerk wymaga gleb wilgotnych, żyznych; źle znosi suche i zanieczyszczone powietrze wielkich miast. Drzewa te mają bardzo płytki system korzeniowy, więc często są powalane przez wi-

chury lub obfite opady śniegu. Wyhodowano kilkaset odmian i form, wśród nich wiele karłowatych (np. odm. „Conica”). W parkach i na skwerach naszego miasta najczęściej rosną światłolubne świerki kłujące (*Picea pungens* Engelm.), których gałęzie są poziomo ułożone, w dość regularnych okółkach. Na prywatnych posesjach można zaobserwować ciekawy pokrój wysokiego świerka, o wyjątkowo strzelistej „chudej” koronie, wyróżniająca się zwisającymi konarami. Jest to świerk serbski (*Picea omorika* Pancic.Purk). Dobrze znosi suche i zanieczyszczone powietrze oraz mroźne zimy. Świerk uwidaczniany był wielokrotnie na płótnach pejzażystów, szczególnie rosyjskich, a także polskich. W sonecie „Świerk” Franciszek Nowicki (1864–1935) przedstawia człowieka rzuconego w wir przeciwności losu.

Los go rzucił na skałę nieczuła, a hardą;  
Wśród kurhanów praczasu, wśród górskich  
rozłomów  
Ćwierć wieku ten świerk pośród śniegów, burz i  
gromów  
Prowadzi bój rozpaczny o swą bytność twardą.  
Gór tytany nań patrzą z kamienna pogarda  
On, młodzieniec, żyjący pył, atom atomów,  
Życie wszczepiać chce pośród ich martwych  
ogromów,

Ku słońcu dąży głową, tęskną, hardą!  
Darmo zimny gład tuli w korzeni ramiona  
I czepia się z rozpaczą piersi skał świerk młody -  
Gniewnie góry wód orkan cisnęły nań z łona.  
Bój zacięły, lecz krótki, z paszczą wściekłej wody  
Trzasnął świerk...upadł...fala go zmiata spieniona...  
I drzemie znowu pusty nekropol przyrody.

**Jodła pospolita** (*Abies alba* Mill.) to zimozielone, żywiczne drzewo z konarami stożkowymi, wyraźnie strzelistym pniem (tzw. „strzała”) i konarami ułożonymi w okółkach. Igły jodły osadzone są gęsto na gałązkach i ułożone są płasko na dwie strony. Charakterystyczną cechą rozpoznawczą jodły pospolitej są widoczne dwa białe woskowe paski na dolnej stronie igieł tej rośliny.

Najciekawsze są szyszki jodeł, których nie można znaleźć pod drzewem. Ukazują się w górnej części korony, są wyprostowane, „stojące” na gałązkach a po dojrzeniu, w końcu lata, rozsypują się na drzewach, pozostawiając tylko trzpień (oś szyszki). W Polsce jodły rosną głównie na południu kraju, na glebach żyznych, głębokich często z bukiem, dębem lub świerkiem. Znane są czyste drzewostany jodły – jedliny – np. Puszcza Jodłowa w Górach Świętokrzyskich.

„Szumią jodły na gór szczycie, szumią sobie w dal,  
Mnie młodemu smutne życie, bo mam w sercu żal,”  
śpiewał Jontek w „Halce” Stanisława Moniuszki. Trudno od autora libretta (Wł. Wolskiego) oczekiwać przyrodniczej poprawności, ale jodły nigdy nie rosną na szczytach gór, ponieważ są to drzewa cieniolubne i występują w reglu dolnym gór. W Polsce przebiega północna granica zasięgu tego gatunku.

Jodła pospolita pochodzi z górskiego, chłodnego i wilgotnego klimatu, dlatego tak rzadko spotykana jest w parkach dużych miast. Natomiast **jodła jednobarna** (ka-



Modrzewie na Błoniach Jasnogórskich w Częstochowie

**lifornijska**) *Abies concolor* (Gordon et Glend.) jest często sadzona w parkach lub na skwerach miejskich, ponieważ jest to gatunek mało wymagający, a jednocześnie posiadający duże walory dekoracyjne. Igły jodły kalifornijskiej są długie, wygięte, obustonne jednobarwne, mają kolor zielononiebieski oraz charakterystyczny jodłowy zapach, przypominający zapach cytryny lub tataraku. Natomiast szyszki są duże, przed dojrzeniem niebieskawe, fioletowe lub jasnozielone. Najmniejsza jodła sadzona w naszych polskich parkach jest **jodła koreańska** (*Abies koreana* E. H. Wilson). Można ją zaobserwować w wielu prywatnych częstochowskich ogrodach przydomowych. Jest to miniaturowa jodła, powoli rosnąca przez wiele lat. Największą ozdobą są liczne szyszki, które powstają już na młodych okazach i mają fioletowe zabarwienie.

**Daglezja zielona**, nazywana również jedlica Douglasa, jedlica zielona (*Pseudotsuga menziesii* Mirb. lub  *Douglasii* Carriere) to typowe, wysokie amerykańskie drzewo zwane „królem lasów wybrzeża Pacyfiku”. Obok modrzewi i jodły jest to najszybciej rosnące drzewo iglaste. Ma wygląd podobny do świerka pospolitego i jest drzewem obcego pochodzenia, które dobrze zaaklimatyzowało się w Polsce. Igły daglezji są miękkie i podobne do igieł jodły. Posiadają dwa jasne woskowe paski na dolnej stronie liści; rozarte pachną jabłkami lub pomarańczami. Bardzo charakterystyczne są szyszki daglezji, posiadające trójkątne łuski. Okazy daglezji zielonej można obserwować na prywatnych posesjach, np. na Wzgórzach Jasnogórskich.

**Choina kanadyjska** (*Tsuga canadensis* (L.) Carriere) jest symbolicznym drzewem, od którego prawdopodobnie powstała nazwa choinka. Występuje powszechnie we wschodniej części Ameryki Północnej, ale już w XIX wieku była sadzona w parkach Europy Zachodniej. Jest to zimozielone, żywiczne drzewo z cienkim pniem i szeroką stożkową koroną. Gałązki ułożone prawie poziomo, często zwisają aż do ziemi. Ten malowniczy i delikatny pokrój spowodował, że obecnie często jest sadzona w parkach i na skwerach miejskich. Drobne i krótkie liście są podobne do igieł jodły, zaopatrzone dwoma jasnymi woskowymi paskami na dolnej stronie igły. Bardzo malowniczo wyglądają szyszki choiny. Są małe, ok. 2 cm długości, jajowate i zwisają prawie z każdej gałązki w dół. Młode okazy choiny można obserwować w parku im. Stanisława Staszica, naprzeciw pomnika Pułaskiego.

**Sosna pospolita** (*Pinus sylvestris* L.) występuje prawie na całym terenie Eurazji. Jest to zimozielone, żywiczne drzewo dorastające do 40 m wysokości. Młode rośliny mają stożkowy kształt (doskonale nadają się na choinki) a starsze okazy gubiąc dolne gałęzie mają rozłożystą parasolową koronę na szczycie pnia. Dekoracyjna jest również żółta lub ceglastoczerwona kora pni sosen. Gatunek ten ma głęboki system korzeniowy, dobrze rośnie na suchych i piaszczystych stanowiskach. Charakterystyczne są również szyszki sosny: młode są zielone, po dwóch latach dojrzewają i przybierają brązowe zabarwienie. Nasionami sosen żywią się wiewiórki, dzięcioły i krzyżodzioby. Igły (po dwie na krótkopędach) zjadane są przez niektóre zwierzęta leśne, np. losie.

Żywica sosny balsamicznej, rosnącej w dawnych epokach geologicznych, obecnie zwana jest bursztynem. Na korzeniach sosny pospolitej, podobnie jak na innych drzewach leśnych, występuje zjawisko mikoryzy – współżycia grzybów z korzeniami roślin. Dlatego pod sosnami można zbierać maślaki, rydze, czasami borowiki.

W kulturze i sztuce motyw sosny wykorzystywany był wielokrotnie. W Chinach i Japonii malowano pejzaże, uwidaczniając ceremonię picia herbaty. Sosna tam



Las sosnowy na północnych terenach miasta (Góry Kawie)

symbolizowała stałość, nieśmiertelność i siłę charakteru. Sosnowe szyszki pojawiały się na antycznych amuletach i miały znaczenie symbolu fallicznego. Sosna była także drzewem słowiańskiego demona Boruty, który jako władca lasu i opiekun zwierząt zamieszkiwał starą sosnę Słowianie czcili Święto Wiosny chodząc z „gaikiem”- udekorowanym młodym drzewkiem sosny. Motyw tego drzewa wykorzystywany był wielokrotnie w malarstwie pejzażystów, np. Iwan Iwanowicz Szyszkin „Sosny w słońcu” (1896). W poezji Teofila Lenartowicza, sosna pojawia się często jako element polskiego krajobrazu – Mazowsza. Kazimierz Przerwa-Tetmajer pisał o sośnie górskiej w wierszu „Limba”. Najbardziej znanym symbolem w literaturze Młodej Polski jest „rozdarta sosna”, znana z powieści Stefana Żeromskiego „Ludzie bezdomni”. Doktor Judym, główny bohater powieści, rozmyśla przy sośnie rosnącej nad urwiskiem nad swoim życiem. Drzewo to nabrało symbolicznego znaczenia. Bór sosnowy przedstawiony był w powieści „Chłopi” Władysława Reymonta, jako mroczny i niedostępny, ale jednocześnie wyniosły i mocny.

Z wiersza Stefana Witwickiego, emigranta po powstaniu listopadowym, można wysnuć analogię do życia papieża Jana Pawła II, który też tęsknił za krajobrazem polskim.

#### Stefan Witwicki - *Do sosny polskiej*

Gdzie winnice, gdzie wonne pomarańcze rosną,  
Domowy mój prostacku, witaj moja Sosno!  
Od matek i siostr twoich oderwana rodu  
Stoisz sierota wśród cudzego ogrodu.  
Jakże tu miłym jesteś gościem memu oku!  
Oboje doświadczamy jednego wyroku.  
I mną także rzuciła pielgrzymka daleka,  
I mnie na cudzej ziemi czas życia ucieka...  
Czemuż, choć cię starania zule otoczyły,  
Nie rozwinęłaś wzrostu, utraciłaś siły?  
Masz tu wcześniej i słońce i rosy wiośniane,  
Przecież gałązki twoje błędą posychlane;  
Wiedniesz, usychasz smutna śród kwietnej płaszczyzny:  
Nie ma dla ciebie życia, bo nie ma ojczyzny.

Drzewo wierne! Nie zniesiesz wygnania tęsknoty.  
Jeszcze trochę jesiennej i zimowej słoty,  
I padniesz martwe. Obca ziemia cię pogrzebie...  
Drzewo moje! Czy będę szczęśliwszy od ciebie?

W Częstochowie zagajniki sosnowe można spotkać na północnych terenach miasta: Góry Kawie. Okolice Lasu Aniołowskiego, na północ od dzielnicy Parkitka. Również jadąc w kierunku Olsztyna, na piaszczystych terenach można zauważyć rosnące sosny pospolite.

Wartości dekoracyjne w architekturze zieleni miejskiej pełni **sosna górska, kosodrzewina** (*Pinus mugo* Turra (P. montana Mill.)), mająca pokrój rozgałęzionego krzewu z giętkimi gałązkami. Na stanowiskach naturalnych kosodrzewina jest rośliną chronioną. W naszym mieście można podziwiać młode okazy kosodrzewiny posadzone koło pomnika księdza Jerzego Popiełuszki, przed wejściem do



W centrum świerk kłujący, na lewo sosna wejmutka, na prawo żywotnik zachodni, poniżej szpaler cisów na prywatnej posesji w Częstochowie

parku 3 Maja, koło Pałacu Ślubów, przy ulicy Sobieskiego, na placu Biegańskiego, koło pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego i w wielu innych miejscach.

W parku im. Stanisława Staszica, obok pomnika Pułaskiego rośnie kilka dorodnych **sosen czarnych** (*Pinus nigra* J. F. Arnold) mających czarną korę na pniu i dość długie igły. Na niektórych skwerach, m. in. przy ul. Okólnej, znalazłam okaz **sosny Banksa** (*Pinus banksiana* Lamb.) wyróżniająca się niskim wzrostem, pokrzyżwionymi gałęziami i licznymi, podwójnymi czarnymi szyszkami. Z gatunków obcych godna uwagi jest **sosna wejmutka** (*Pinus strobus* L.), pochodząca z Ameryki Północnej, ale dobrze zaaklimatyzowana w Europie. Jest dość plastyczna ekologicznie. Znosi zanieczyszczenia powietrza i suszę w miastach. To piękne, wysokie drzewo ma delikatne, długie i cienkie igły (zebrane po pięć w pęczku), szyszki również są długie i wąskie, pokryte żywicą. Okazy sosny wejmutki można znaleźć na prywatnych posesjach w Częstochowie.

**Modrzew europejski** (pospolity) *Larix decidua* Mill. (L. europaea DC.) jest to wysokie drzewo o wąskiej, wysmukłej koronie. Igły modrzewia opadają na zimę, są spłaszczone, miękkie i jasnozielone. Na jesieni żółkna przed opadnięciem. Jest to drzewo światłolubne, dobrze znoszące zanieczyszczenia powietrza wielkimi miast. Powinny być sadzone w parkach i na skwerach. Dekoracyjne ciemne szyszki są okrągławe lub wydłużone, skierowane ku górze i dłużej (nawet kilka lat) pozostają na drzewie. Modrzew jest cennym gatunkiem drzewa ze względu na jego drewno z czerwonym charakterystycznym rysunkiem. Był od dawna wykorzystywany do budowy masztów żaglowców, dworków modrzewiowych lub innych elementów staropolskiej architektury drewnianej.

W Polsce dziko rośnie tylko w Tatrach. Zmienność cech morfologicznych i zróżnicowane wymagania ekologiczne spowodowały, że botanicy wyodrębnili kilka podgatunków modrzewia europejskiego, np. modrzew polski (ssp. polonica). Modrzew polski występuje w środkowej Polsce, okolice Grójca, Skarżyska. Jest podgatunkiem objętym ochroną prawną.

W Częstochowie można podziwiać stare okazy modrzewia europejskiego, np. w Parku Miejskim 3 Maja rośnie egzemplarz pomnika przyrody o obwodzie 311 cm, jego wiek szacuje się na ok. 140 lat. Na Błoniach Jasnogórskich rosną dwa okazy starych modrzewi, które są symbolami miejsc pielgrzymkowych. Częstochowianie nazywają je „uświęcone drzewa”. Okazałe modrzewie dają wiosną jasną zielen, cień latem a jesienią żółty koloryt opadających igieł – dużą grupę tych drzew można podziwiać na terenach zieleni w dzielnicy Północ, koło szkoły i pływalni oraz na wielu innych terenach rekreacyjnych.

**Jałowce pospolity** (*Juniperus communis* L.) to krzew lub małe drzewo o igłach szpilkowatych, różniące się od innych iglastych przede wszystkim „owocami”, znajdującymi się na okazach żeńskich. Są to szyszkojagody z nasionami jałowca. Szyszkojagody zawierają olejek eteryczny, żywice, kwasy i cukry. Są środkiem przysparowym i leczniczym o działaniu antyseptycznym i moczopędnym. Wyrabiano z nich wódkę „jałowcówkę” i piwo „koźcowe”. Szyszkojagody są ulubionym pokarmem ptaków, np. kwiczołów i jemioluszek. W czasie upałów krzew jałowca wydziela substancje lotne o działaniu antyseptycznym i bakteriobójczym i dlatego krzewy jałowca powinny być sadzone wokół placów zabaw dla dzieci, a nie krzewy cisa, które mają właściwości trujące.

W architekturze krajobrazu miejskiego najbardziej cenione są odmiany kolumnowe lub płozące się: np. wysmukły i wysoki jałowiec wirginijski (*Juniperus virginiana* L.) szczególnie dekoracyjna jest odmiana „Skyrocket”, jałowiec sabski (*Juniperus sabina* L.), jałowiec płozący się (*Juniperus horizontalis* Moench.) czy jałowiec chiński (*Juniperus chinensis* L.) odmiana pstrolistna. Dzikie rosnące jałowce pospolite można znaleźć na piaszczystych terenach Gór Kacwich, na północ od dzielnicy Parkitka i Północ. Natomiast odmiany hodowlane i aklimatyzowane jałowców można podziwiać na skwerach przy placu Biegańskiego, przy Pałacu Ślubów, na skwerze Solidarności, koło Urzędu Miejskiego przy ulicy Waszyngtona; obok domów parafialnych przy ul. Krakowskiej, Okólnej, Starzyńskiego i innych miejscach.

**Cis pospolity** (*Taxus baccata* L.) jest zimozielonym krzewem, starsze okazy przybierają pokrój drzewa. Nie zawiera żywic, igły nie pachną. Cis stanowi ewolucyjnie bardzo stary rodzaj botaniczny, największy stopień ekspansji osiągnął w trzeciorzędzie. Cis należy do najwolniej rosnących roślin iglastych. Jest to drzewo długowieczne, żyje nawet 1000 lat lub dłużej. Cis pospolity jest rośliną dwupienną, tzn. są okazy męskie (wiosna obficie pyłące) i okazy żeńskie, na których jesienią pojawiają się czerwone osnówki, okrywające nasiona. Jest to jedyna nietrująca część tej rośliny. Toksycznym działaniem odznacza się zarty w roślinie alkaloid – taksyna, powodująca zaburzenia w trawieniu, trudności w oddychaniu i zatrzymanie pracy serca. Ale niektóre zwierzęta leśne, np. sarny i jelenie zjadają młode rośliny cisa. Osnówki cisa są ulubionym pokarmem dla wielu ptaków, np. dla kowalików. Drewno cisa było bardzo cenione, ciężkie, elastyczne, czerwone lub brązowe z jasnym białym, bardzo twarde. Dawniej robiono z niego łuki, kusze, grotele, intarsjowane meble. Już Władysław Jagiełło w XV wieku, zakazał wycinania z lasów cisa. Obecnie cisy rosnące na stanowiskach naturalnych są pod ścisłą ochroną. Największy w Polsce rezerwat przyrody, chro-

niący cisy, jest w Borach Tucholskich, rośnie tam kilka tysięcy cisów. W okolicach Częstochowy też można podziwiać stare okazy cisów w rezerwach: „Łebki”, „Huta Stara” czy „Cisy nad Liswartą”. W Częstochowie rozłożyste, kilkudziesięcioletnie cisy rosną w parku 3 Maja, w okolicach kortów tenisowych; na skwerze „Solidarności”, na skwerze koło Urzędu Miejskiego rosną cisy odmiany kolumnowej.

**Żywotnik zachodni** (*Thuja occidentalis* L.) jest gatunkiem północnoamerykańskim, ale obecnie bardzo często sadzony w parkach, ogrodach i na cmentarzach Europy. Jest to zimozielony krzew lub małe drzewo o pędach wierzchołkowych wzniesionych i wyprostowanych. Liście są łuskowate, ściśle przylegają do siebie. Żywotnik różni się od innych iglastych przede wszystkim małymi szyszkami: po dojrzeniu otwierają się od wierzchołka na zewnątrz. Czerwona korowina na pniu łuszczy się długimi pasami. Dobrze znosi strzyżenie i jest wykorzystany dotworzenia formowanych żywopłotów. Żywotnik olbrzymi (*Thuja plicata* DonnexD. Don) w naszych warunkach ma bardzo duże walory dekoracyjne, szczególnie odmiana „Smaragd” (szmaragdowa) lub „Aureospicata” (złotokociszta).



Okazały świerk klujący koło Pałacu Ślubów w Częstochowie

**Cyprysik groszkowy** (*Chamaecyparis pisifera*) pochodzi z Azji, w Japonii dorasta nawet do 50 m wysokości. Drobne szyszki cyprysika składają się z kilku par tarczowatych łusek, ułożonych na krzyż, przypominają małe nasiona grochu. Pędy cyprysików są podobne do pędów żywotników, ale przeważnie są zwisające i wiotkie. **Cyprysik Lawsona** jest najwyższym gatunkiem cyprysika i szczyty się wyjątkową barwą liści – jest niebiesko lub srebrzystozielony. Również **cyprysik nutkajski** jest interesujący ze względu na zwisające gałęzie (szczególnie odmiana „Pendula”).

Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia. W tym okresie pojawiają się na rynku drzewka różnego rodzaju, od zwykłych świerków, sosen czy rzadszych jodeł, po różne egzotyczne gatunki oraz choinki plastikowe, zdecydowanie na wyrost nazywane „ekologicznymi”. Tradycyjnie w tym okresie odbywa też dyskusja na temat wyższości i zasadności kupowania tych, a nie innych choinek. Argumenty adwersarzy są logiczne i częściowo uzasadnione.

*Czy naprawdę sztuczna choinka jest ekologiczna?* Wytworza się ją z substancji, których już samo wydobycie powoduje ogromne szkody w środowisku. Następnie proces produkcji – to wytwarzanie nieprzyjaznych środowisku pyłów i gazów z zakładów przemysłu chemicznego. I wreszcie sama choinka, która po kilku latach użytkowania trafi na wysypisko śmieci. Jej biodegradacja następuje bardzo powoli. Rozpad związków PCV, z których powstała, ocenia się na 2000 lat. Jako surowiec poddana recyklingowi ta niby ekologiczna choinka, podczas chemicznej obróbki zużywa bardzo dużo energii. Z drugiej strony, obecnie większość świątecznych drzewek pochodzi z plantacji zakładanych na terenach otwartych, zdegradowanych lub na nieużytkach leśnych. Żywe drzewko w takcie wzrostu na plantacji wiąże w swojej biomacie znaczne ilości dwutlenku węgla, którego nadmiar już odczuwamy w atmosferze ziemskiej. Ponadto korzenie pozostałe po wycięciu choinki pozostają w glebie, powodując jej wzbogacenie w próchnicę. Zaś samo drzewko, wyrzucone po okresie świątecznym w krótkim czasie ulega naturalnemu rozkładowi i jego składniki wracają do obiegu materii w przyrodzie. Należy wspomnieć o doznaniach estetycznych, jakie dostarcza żywe, pachnące drzewko, szczególnie w miejskich biurach i mieszkaniach zbudowanych z tworzyw sztucznych, szkła, betonu i aluminium. Ale zawsze nabywca naturalnej choinki dobrze służy środowisku naturalnemu? Na to pytanie trzeba odpowiedzieć sobie samemu. Ja proponuję symbolicznie ozdabiać te iglaki, które rosną i będą rosły nadal: na placach, skwerach, w parkach czy we własnych ogródkach. A w domu przygotować mały stroik i zadumać się nad symboliką Świąt Bożego Narodzenia...

**Irena Jarzyńska**



## Moja jakże ważna rola w przygotowaniach do świąt Bożego Narodzenia

Zbislaw Janikowski

Święta tuż, tuż, przygotowania, sprzątanina, zakupy... Tak jest i, miejmy nadzieję, jeszcze długo tak będzie. A jak było?

Sprzątanie, mycie okien, wiórkowanie podłóg, trzepanie dywanów przez szereg lat było obok mnie, ale pewnego roku uznano, że jestem na tyle „duży”, że mogę i niestety – musiałem - odtąd uczestniczyć. Na szczęście nie myłem okien, nie pastowałem podłóg ale już świeżo wyprane firany wieszac musiałem, trzepać dywany też, a noszenie węgla z piwnicy, wynoszenie śmieci i popiołu z pieców, mielenie maku na strucle stało się moim przypisanym na stałe obowiązkiem. Dziś odpadły mi piece, popiół, mak, który zastąpił kupowany w sklepie puszgowany, gotowy (pytanie, czy równy tamtemu) przybyły za to ryby (patroszenie i skrobanie), zakupy i inne co podlejsze prace. Tak prawdę powiedziawszy, to nienoszenia węgla i popiołu troszeczkę żałuję w gruncie rzeczy, mimo że ciężkie, były to wspaniałe zajęcia. Urwać się do takiej piwnicy nawet kosztem nieodrabianych lekcji było moralnie usprawiedliwione – przecież kazali!

A piwnica – jakże tajemniczy i uroczy świat, świat widziany w migotliwym świetle świecy, świecy która często, niechcący potracona, przewracała się i gasła. Absolutnie doskonała ciemność, tajemnicze szmery – pewnie wystraszone moją obecnością myszy w ciemnościach nabrały śmiałości – zapalki są w kieszeni, znowu migotliwy niespokojny płomyczek, który parzy palce, jest wreszcie świeca, znowu widno. Karykaturalne cienie na kiedyś bielonych a teraz uczernionych węglowym pyłem ścianach, na kolebkowatym ceglany sklepieniu. Za drewnianą przegrodą węgiel, za inną kartofle (ziemniaków wtedy nie było), w skrzynce przesypała żółtym piaskiem marchew, buraki, pietruszka. Ileż obowiązków, oprócz dwóch a czasem i kilku dodatkowych kublów węgla (zapas na niedzielę lub święta), trzeba na górę zanieść ziemniaki, i ściśle określona ilość innych warzyw. Jeszcze beczułka z kiszoną kapustą, soczyste pachną-

ce jabłka i gruszki zimówki, poukładane starannie na drewnianych, specjalnie na ten cel przeznaczonych półkach, takie jabłuszka można było spokojnie podjadać, co było samemu sobie przyznana nagrodą za ciężką pracę.

Oprócz tych dóbr materialnych piwnica kryła najprzeróżniejsze i najprawdziwsze skarby. Na zarzewiałych gwoździach wisiały wojenne pamiątki, przemysłne latarki wykonane przez ciocię Zosię z blaszanych, jaszce przedwojennych pudełek po herbacie, wymalowanych w egzotyczne pejzaże z odległego Cejlonu lub Indii, na których wschodnie piękności schylają się z wdziękiem nad krzewami herbaty lub niosą na ramionach ogromne kosze herbacianych listeczków. Obok wisiał największy skarb, blaszana okrągła puszka po wojskowej najprawdziwszej masce przeciwgazowej, ponemiecka ochronna peleryna – panterka, łopatką saperka i już znacznie mniej atrakcyjne manierki.

A ile tam było przeróżnego kształtu butelek (takich już dziś się nie spotyka), jakieś kamienne gary, ocynkowane wanienki i takież zapasowe kubły na węgiel, połamane szpadle, wyszczerbione piły i... Prawdziwą kopalnią różności była ogromna skrzynia. a w niej oprócz dokumentów po pospiesznie zlikwidowanym ojcowskim sklepie (upaństwowionym), dokumentów których nie wolno mi było ruszać przez ileś tam lat, a w których i tak szukałem starych kopert z pocztowymi znaczkami z wizerunkiem Bieruta. Kiedyś ze skrzyni tej wy dobyłem laski najprawdziwszej wojenne cykori i stanowiącej w owym czasie namiastkę kawy, i mydełka, też ponemieckie, o których opowiadało, że wykonywano je z ludzkiego tłuszczu, co prawda nie było, bo mydło to w ogóle tłuszczu nie zawierało, mydlić też się nie mydliło. Innym znalazziskiem były papierosy, jedne z pierwszych powojennych, to coś co w nich udawało tytoń było pewnie mieszaniną zmiatanych w parkach liści pokropionych jakąś podłą wodą kwiatową. Był to czas, w którym z moimi rówieśnikami podejmowaliśmy próby palenia – łatwo sobie wyobrazić, jaki byłem ważny i jak lubiany, choć owe „syreny” (bo tak się zwały) niejednego przyprawiły o młodość a nawet torsje. W osobnej paczce był komplet złożonych liter z dawnego dumnego szyltu: Waclaw Janikowski Artykuły Spożywcze i Kolonialne.

Jeszcze ogromne tekturowe pudło z choinkowymi (przedwojennymi) ozdobami, a wszystko kończyło się corocznym wielkim poszukiwaniem krzyżaka do choinki...

# WOREK CZĘSTOCHOWSKI nr 17

## Le Vorecq Czenstochovien

pod redakcją Janusza Piernikarskiego i Jana T. Podźdama

### SUKCES PROMOCYJNY

Mieliśmy w Częstochowie referendum. Wzbudziło wiele wątpliwości. Pytano: po co odwoływać prezydenta, przecież nie zgwałcił ani nie zdefraudował. Odpowiadano: no właśnie, i w ogóle nic nie robił. W użyciu były wielkie słowa: przeciwnicy T.W. przedstawiali swoją inicjatywę prawie jak ruch narodowowyzwoleńczy (nie zabrakło nawet czerwonych flag, porzwieżanych po mieście w dniu referendum), a sam prezydent twierdził, że cała impreza to powrót liberum veto. Potem okazało się, że... naprawdę został odwołany. Co prawda nowy władarz długo Częstochową nie porządzi, bo już za rok wybory. O ileż bardziej pozytywne byłoby referendum w sprawie odwołania zarządu MPK! Ale za to cała Polska o nas mówiła.

### CZYNY PRZECHODZĄ W SŁOWA

Teatrón Częstochowski przygotowuje nową, ekscytującą premierę: „Przypadki Działaskala” według scenariusza i reżyserii Anety Wozniój. Tworzywo słowne tego spektaklu mają tworzyć didaskalia z różnych dramatów. Ich specyfika polega na tym, że przecież stanowią tekst odautorski, a jednak nigdy nie są werbalizowane. Przez przekształcenie didaskaliów w dialogi, argumentuje pani Aneta, zaciera się różnica pomiędzy czynem a słowem, pomiędzy faktyczną czynnością a jej językowym desygнатem. Jaką fabułę da się ulepszyć z takiego materiału, przekonyamy się już w styczniu.

### NA PODBÓJ ŚWIATA

Dowiedzieliśmy się, że pewne częstochowskie towarzystwo literackie, pod nazwą bodajże „Białorus”, planuje rozpropagować naszą lokalną kulturę w świecie. Towarzystwo do tej pory słynęło z ożywionej działalności wydawniczej, teraz zaś zapowiada wydanie serii przekładów. Dzieła najwybitniejszych autorów z Częstochowy i okolic zostaną zatem przetłumaczone w pierwszym rzędzie na takie języki, jak mongolski, albański czy wietnamski. Książki częstochowskich pisarzy w przekładzie na psztu będą w ramach pomocy rozdawane przez polskie wojsko mieszkańcom Afganistanu. W dalszej perspektywie są tłumaczenia na niektóre języki afrykańskie, jak wolof, khookhoy czy xhosa.

### POEZJA

Najnowszy tom poezji Ryszarda Przelatka pt. „Klimatyzowanie automobilu rozczarowania” zawiera równo 21 wierszy poświęconych introspektywnemu spojrzeniu w głąb siebie. Tematyka utworów ociera się o refleksję nad cywilizacją. Przykładowo, wiersz „O, typowny klakserze!” wyraża w zawaolowany sposób brak kompleksyjności podstawowych modeli osobowych społeczeństwa masowego. Zastanawiające

jest aczkolwiek dialektyczne podejście do teodycei i jej umiejscowienia. Próbę Przelatka podjęcia wspomnianych tematów trzeba jednak uznać za chybną z kilku różnych powodów. Przede wszystkim dlatego, że to ja jestem najlepszym poetą w mieście.

### NIETOPYRZE!!!

W czasie ostatniego pobytu w Wiedniu prof. Sylwia Rerum z Akademii Jacka Długosza mieszkała w uroczej kamienicy przy Ringu. Właścicielka tego budynku posiada wyjątkowo okazałego kota. Któregoś wieczoru, szukając zwierzęcia, nieoczekiwanie znalazła teczkę zawierającą nuty. Pani profesor szybko przekonała się, że ma do czynienia z nieznanymi dotąd dziełami Johanna Straussa. Stanowią one kontynuację jego słynnej operetki i noszą tytuły: „Powrót nietoperza”, „Nietoperz kontratakuję” i „Syn nietoperza”. W tych sequelach najprawdopodobniej Eisenstein przygotowuje zemstę na tych, którzy w pierwszej części zrobili go w konia. Prof. Sylwia Rerum zapowiada, że nowo odkryte utwory Straussa przekaże do wystawienia Operetce Częstochowskiej.

### NASZE GALERIE

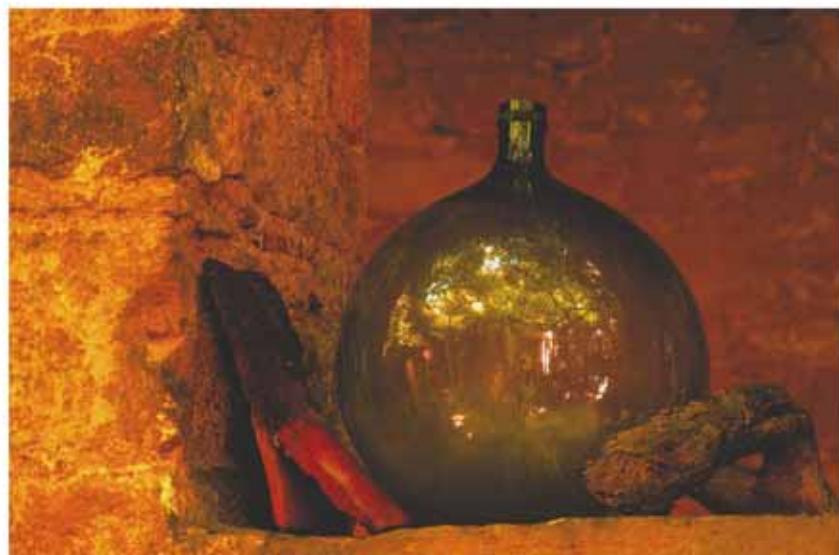
W Częstochowie otwarta została w ostatnich miesiącach Galeria Jurajska. Jest ona, o ile się orientujemy, największą galerią w naszym mieście. Problem z nią polega na tym, że powszechnie nie uważa się jej za instytucję kulturalną. Niektórzy wprawdzie utrzymują, że można tam zobaczyć niezłe sztuki. Czy tak jest naprawdę, nie podejmujemy się ustalić, ale nasz wysłannik potwierdza, że po galerii tej można cały dzień chodzić i tylko oglądać.

### ZDOBNICTWO PUBLICZNE

MPK znowu zaskoczyło częstochowian. W niektórych autobusach pojawiła się tapicerka z herbem miasta. Wielu mieszkańcom, nie lubiącym Częstochowę, zapewniono jedyną w swoim rodzaju okazję siadania tyłkiem na jej symbolu.

### SPOTKANIA NA PELENGOWEJ

Centrum Studiów Artystycznych „Neshoma” przy ul. Pelengowej 15 proponuje kolejne zajęcia dla młodych artystów. 17 grudnia Wit Peluszka przedstawi tajniki fotografowania kota, kiedy nie śpi – zajęcia dla bardzo doświadczonych fotografów. Natomiast 27 grudnia Wojciech Korbolong poprowadzi warsztaty z lenistwa świątecznego.



Korneliusz Konsek (Białoruś) - Biblioteka babci Wiery



Monika Stachnik-Czapla (Kraków) - Odbicie

